Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI | Niedziela, dnia 4 grudnia 1938 r. | Nr. 49



Św. Mikołaj - przyjaciel dzie

ADAM CZEKALSKI

11)

Hollywood

POWIEŚĆ

Bo już nie ulegało dla niego żadnej wątpliwości, że pozostali czterej dżentelmeni zaangażowani są w tej sprawie jednakowo, na równi z tym niewyraźnym typem, mr. Kid Avarem.

Puroll trzymał w jednej ręce słuchawkę telefonu, drugą zaś nieznacznie wsadził do kieszeni, gdzie miał ukryty pistolet automatyczny. Był przygotowany na najgorsze. Jeżeli ten człowiek strzeli, albo choćby tylko zdradził jakąkolwiek wrogą chęć, dobędzie rewolweru i będzie się bronił. Lecz Kid nie miał widać tego zamiaru, bo po chwili uśmiechnął się zagadkowo i rzekł:

— Sir, proszę mi wybaczyć — uniosłem się nieco.

Roger odetchnął z niejaką ulgą, ale nie uwierzył już tym razem w pokorę Kida, a przechodząc od myśli do słów, zapytał:

— Powiadasz pan tedy, żeś jest sekretarzem osobistym miss Kai de Rieth, czy się pan przypadkiem nie mylisz?

— Nie, sir, jestem tym, za kogo się podaję.

— Musisz zatem znać mister Teara?

— Owszem, znam go, jest to sekretarz Nr. 2 miss de Rieth.

— Czemuż on nie przyjechał, tylko pana wysłano?

— Bo mister Tear towarzyszy w tej chwili miss de Rieth w jej wycieczce jachtowej na oceanie.

Mogło to być prawdą, gdyż Kaja pisała mu w swoim czasie, że na ten właśnie okres przypadnie jej kilka wolnych od jakiejkolwiek pracy dni. Mogła się zatem wybrać na wycieczkę. Ale Roger nie wierzył już niczemu, nie byłby uwierzył nawet słowom samego Teara, gdyby się ten nagle był zjawił i własnym zdaniem poparł wywody Kida. Do tamtego Kaja miała pełne zaufanie, wspominała w listach o nim dość często.

— Sir — odezwał się znowu Avare — niech się pan namyśli. Zostawiam panu piętnaście minut do namysłu.

— Dobrze, zastanowię się.

Kid wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Puroll odprowadził go wzrokiem, potem odłożył nagle słuchawkę i zamyślił się nad dalszymi krokami. Sytuacja stawała się naprawdę niebezpieczna. Nie było już teraz dla niego najmniejszej wątpliwości, że wchodzi tu w grę zamach. Ale z jakich przyczyn? Co znaczy to natarczywe żądanie podpisania zgody na rozwód? Tego wszystkiego Roger rozwikłać nie potrafił. Ale też i nie tracił głowy. W swoim niezbyt długim życiu znajdował się już tyle razy twarzą w twarz śmierci, że dzisiaj nie przerażała go ona wcale, a pogróżki tego osobliwego grubasa tylko gniew w nim wywoływały.

Tymczasem zaś Kid, znalazłszy się za drzwiami, zszedł cichuteńko o kilka kroków w dół i gestami przywołał znajdujących się na dole w hallu towarzyszów.

— Co jest, podpisał? — szepnął Fir.

— Nie, czegoś się domyśla.



Para mr. Nells i miss Lissous (Anglia) zwyciężyła w konkursie tanecznym w Berlinie spośród przedstawicieli 12 państw

— Cóż teraz?

— Stanie się to, co ma być. Sliver, gdzie masz bańkę?

— Jest.

— Dawaj ją tutaj.

Wszyscy czterej podeszli znowu pod drzwi pokoju Rogera i Kid zaczął nasłuchiwać. W pokoju panował całkowity spokój, jakby tam nie było żywego ducha.

— Sliver, wsadź kiszkę w otwór klucza — rozkazał ściszonym głosem Kid.

Młody dżentelmen wydobył spod marynarki niewielką bańkę metalową, wkręcił w nią długi cienki wężyk gumowy i jego koniec wetknął w otwór dziurki od klucza. Następnie przekręcił mały kranik i gaz z sykiem zaczął się wydobywać z naczynia, napełniając nim pokój, w którym znajdował się Roger. Z początku z pokoju nie dochodziły najmniejsze odgłosy, po chwili jednak czatujący pod drzwiami ludzie usłyszeli kroki, potem jakiś zduszony, chrapliwy krzyk ludzki, rumor przewracanego krzesła i nagle wszystko ucichło.

— Gotowy! — zawołał już w głos Sliver.

— Czy nie za wiele wpuściłeś tego medykamentu? — spytał jeszcze Parsley.

— Nie bój się, nic mu nie będzie. Po kilku godzinach obudzi się cały i zdrów, a chociaż tam główka będzie go trochę bolała i może nawet do Rygi pojedzie na narady dyplomatyczne, jednak zdrowiu jego zupełnie to nie zaszkodzi.

— No, to jednak Zapakować go do auta i w drogę.

— A rzeczy?

— Zostaną tutaj. Już je tam Joe ukryje, gdy będzie potrzeba, tak, że ich nawet sam Hoover nie znajdzie.

— O'key!

XIV.

LIS W OWCZEJ SKÓRZE

Trzeciego dnia podróży, na kilka godzin przed wylądowaniem w porcie Los Angeles, mister Slim O'Conor w swoim postępowaniu z Kają zmienił się do gruntu. Snać doszedł był do wniosku, że groźbami i zastraszeniem niczego dokonać nie potrafi, więc zrzuciwszy z siebie skórę jawnego wroga aktorki, przemienił się w najpotulniejsze jagnię.

— Madame — mówił w pewnej chwili do Kai, kiedy niedostępna Mady odeszła do kajuty za jakimś interesem — czy pani gniewa się na mnie?

— Nie, nie gniewam się, ale jest mi pan zupełnie obojętny.

— Bardzo mi przykro. Proszę wybaczyć, jeśli poprzednio obraziłem panią czymkolwiek. Żałuję teraz bardzo poprzedniego mojego postępowania. Pragnę to naprawić i ofiarowuję pani w tej chwili całkowicie bezinteresowną przyjaźń.

Kaja przyjrzała się uważnie Slimowi. Nie poznawała go zupełnie. Ale też i nie dała się zwieźć jego uprzejmym słowom i wyrazom żalu. Podświadomie bowiem wyczuwała, że ten człowiek coś znowu knuje, tylko tym razem zaczyna z innej beczki.

— Panie O'Conor — odezwała się po chwili — sądzę, że zarówno dla mnie jak i dla pana będzie najlepiej, skoro zostawimy siebie wzajemnie na boku i nie będziemy zupełnie interesowali się naszymi osobami. Ja zaręczam panu, że nigdy nie dam mu okazji do zajmowania się mną. Czy pan może mi to samo przyrzec?

O'Conor namyślał się przez chwilę, patrząc gdzieś daleko na ocean. Nie odpowiadał. Kaja czekała na jego słowa, mając nadzieję, że może uda jej się odczepić od tego człowieka i zabezpieczyć sobie spokój z jego strony. Wreszcie Slim podniósł oczy na Kaję, oczy jakieś smutne, jakby mgłą żalu przysłonięte.

— Miss de Rieth — wyrzekł łagodnie, dźwięcznym głosem, jakby przemawiał do dziecka i pragnął pozyskać sobie jego przyjaźń. — Miss de Rieth, powiedziałem, że było by mi bardzo miło, gdyby te dysonanse, które między nas się wkradły, uznane zostały za niebyłe. Nie jestem pani wrogiem i o tym, że panią kocham, nie wspomnę nigdy. Ofiarowuję pani szczerą i czystą przyjaźń, gdyż nie mogę nawet myśleć o tym, abym pani miał nie widzieć więcej i z nią nie rozmawiać. Trudno, ale nie mogę. Dlatego proszę, aby pani nie odrzucała tej przyjaźni. Może nadejdą takie chwile dla pani, że będziesz mogła na tę przyjaźń liczyć, od tej przyjaźni wymagać pomocy... I ja ją pani wtedy dam.

— Dobrze, niech i tak będzie — zgodziła się Kaja .

— Ale jeszcze jedno: czy ja naprawdę jestem dla pani tak niemiły, iż mnie znosić przy sobie nie możesz?

— O, mister O'Conor, dlaczego pan tak mówi? Przecież możemy żyć w najlepszej zgodzie i przyjaźni, ale niekoniecznie jako kochankowie.

— Rozumiem i dziękuję. Ale gdyby pani kiedyś nawet w najdalszej przyszłości, została wolną; nie mówię, że to się stanie na pewno, ale gdyby, czy wtedy podałabyś mi swą dłoń?

Kaja zaczęła się śmiać. Bawił ją teraz ten melancholijny i jakiś tęskny ton, jakim przemawiał Slim. Z natury dobra i współczująca, doznała i teraz w swym sercu pewnego rodzaju współczucia dla tego człowieka. Dlatego odrzekła prawie wesoło.

— Owszem, jeżeli nastąpi to kiedykolwiek, mogę panu obiecać, że pierwszy,

któremu mogłabym w przyszłości oddać swoją rękę — byłby właśnie pan. Tylko... musiałby się pan wiele zmienić.

— O to mniejsza, jeżeli pani rozkaże — zmienię się niezawodnie. A tymczasem bardzo dziękuję i uciekam. Nie chcę się narazić na miano nudziarza.

Slim skłonił się i odszedł, a dusza płonęła mu z radości, że niebawem na pewno dopłynie do szczęśliwego i wymarzonego przez się portu. Kaja będzie na pewno wolna. Thomas Hemlock potrafi się tam załatwić z mister Purollem.

Wprawdzie Slim nie miał specjalnie zbrodniczych zamirów, jeżeli chodziło o osobę Rogera i wolałby uniknąć wszelkich tragicznych wydarzeń, ale jednocześnie nie mógł zaręczyć za jego całkowite bezpieczeństwo. Nic nie wiadomo, jak się rzeczy potoczą dalej, jaki obrót przybiorą sprawy w najbliższej przyszłości. Slim pragnął za wszelką cenę złamać opór Kai, doprowadzić ją do takiego stanu, aby — nie mając innego wyjścia — zdała się na niego całkowicie. Chwilowo nie chciał nawet myśleć o tym, że ofiarowana artystce przyjaźń ma wszelkie cechy podstępnej zbrodni, że uderzając w jej najczulszą strunę z jednej strony, a głaszcząc ją z drugiej — postępuje nie tylko nieszczerze, ale wręcz podle. Nie myślał o tym i nie zastanawiał się nad tym na dłuższą metę. Będzie to, co los zdarzy. Oto była jego dewiza w obecnej chwili.

Wychowany w protestantyźmie, propagujący raczej moralność na pokaz, w formach pedantyczności i skostnienia, nie miał w sobie subtelności i tej czułości barometru moralnego, który zwykł z góry ostrzegać przed niebezpiecznymi pociągnięciami. A rozzuchwalony tym, że jego postępowanie i zamiast jawnego prowadzenia wojny z miss de Rieth działać podstępnie, ubrawszy się w togę przyjaciela i dobrze życzącego artystce człowieka.

Czy Kaja dała się zwieść? Chwilowo trudno było stanowczo to orzec. I ona nie należała do osób, które można by byle czym zwieść, w błąd wprowadzić i czujność jej uśpić. Tym bardziej trudne to było rakterze osobistej sekretarki i damy do własnego towarzystwa. Mady propozycję przyjęła. Przeniosła się do willi Kai, urządziła sobie tutaj bardzo przytulny pokoik i prawie od pierwszego dnia weszła w swoją rolę z takim skutkiem, że miss de Rieth nie mogła obejść się bez niej ani godziny.

Pan Tear, który witał przed chwilą swoją chlebodawczynię pierwszy, poinformował



miliony spełniały zawsze wszelkie jego zachcianki, choćby najbardziej szalone, nie mógł się pogodzić z odprawą jaką dała mu Kaja. Nie był też do tego przyzwyczajony. I dlatego zacinał się coraz bardziej w swoim postanowieniu przeciwko de Rieth. Im zaś mocniej upierała się ona przy swoim, tym Slim gwałtowniej jej pragnął i z tym większą stanowczością mówił sobie, że zdobyć ją musi.

Ostatnio zaś, przemyślawszy wszystko do najdrobniejszych szczegółów i otrzymawszy pomyślną wiadomość od Thomasa, postanowił w jednej chwili zmienić swoje teraz, gdy Slim wszystko dotąd czynił, aby ją ostrzec i pozwolić jej się przygotować do odparcia zamierzonego ataku.

Poza tym jej myśli tak bardzo zajęte były Rogerem, który przecież lada dzień miał zjawić się przy niej, że nie miała ani czasu ani ochoty na jakiekolwiek inne myśli.

Po wylądowaniu, Kaja pożegnała całe towarzystwo, zabrała Mady i pojechała do siebie. Od pewnego już czasu bowiem miss de Rieth tak się przywiązała do tej szczerej, uczciwej i dobrej dziewczyny, że nie mogła się wprost bez niej obejść. Dlatego zaproponowała jej pracę u siebie w charakterze

zarazem Kaję, iż mister Puroll przysłał depeszę z okrętu, zapowiadając na dzień wczorajszy swój przyjazd do Nowego Jorku.

— A zatem znajduje się on już w tej chwili zapewne w drodze do Hollywood — ucieszyła się Kaja. — Mady, weźmiesz się zaraz do urządzenia dla naszego „pana i władcy" jednego z pokoi, który przeznaczymy na jego własny, prywatny użytek. Jeżeli trzeba będzie cokolwiek dokupić, zatelefonujesz do pana Migth'a, a on to już załatwi.



Ze zwykłej taczki i wiązki słomy sprytny goryl urządził sobie wagon sypialny

I w ciągu paru dni następnych obie przyjaciółki pozostawały jakby w gorączce, krzątając się i przygotowując dom na przyjęcie Rogera, jakby nie był całkiem przeciętnym człowiekiem, ale co najmniej jakimś królewiczem z bajki, który zjechać ma pod dach Kopciuszka i porwać go na swój wspaniały zaczarowany zamek.

Tymczasem jednakże mijały dni za dniami, a Roger nie tylko nie przyjeżdżał, ale nawet nie dawał najmniejszego znaku życia o sobie. Początkowo, w pierwszych dniach oczekiwania, Kaja tłumaczyła sobie brak wiadomości od Rogera i brak jego samego, zajęciami jego fachu, które musiały pewnie zatrzymać go w New Yorku lub Detroit. Ale dlaczego nie pisze? Gdy jednak coraz więcej dni upływało, a Roger nie zjawiał się i nadal ani nie pisał i nie depeszował, Kaja zaniepokoiła się już na dobre. Brak znaku życia od męża działał na Kaję ogromnie przygnębiająco i denerwująco. Nie rozumiała zupełnie, co się tam w Nowym Jorku stać mogło. Po dziesięć razy na dzień odczytywała list ostatni i depeszę z okrętu, doszukiwała się najprzeróżniejszych powodów, lecz wszystko to nie rozwiązało zagadki. W końcu postanowiła wysłać Teara do Nowego Jorku, aby na miejscu zbadał wszystko i rozwikłał tę tajemnicę .

Tear pojechał samolotem jeszcze tego samego dnia i nazajutrz już depeszował, że znajduje się w Nowym Jorku i rozpoczyna poszukiwania. Kaja została w Hollywood w towarzystwie Mady, która napróżno starała się uspokoić przyjaciółkę zapewnieniami, że pewnie nic złego się nie stało i pewnie lada dzień Tear da znać, że obaj z panem Rogerem podążają do Hollywood. Lecz Kaja nie chciała w to uwierzyć.

— Gdyby tak było, jak mnie o tym usiłujesz przekonać — mówiła — Roger nie pozostawiliby mnie tutaj w niepokoju. To do niego wcale nie podobne. Znam go za dobrze, abym w to wątpić miała.

— Ale posłuchaj mnie, Kajo, gdyby mu się przytrafiło jakie nieszczęście, znalazłaby się odpowiednia notatka o tym w prasie i pewnie i radio nie omieszkałoby powiadomić słuchaczy.

— Może masz i rację, ale dlaczego w takim razie milczy?

— Może zajęty jest bardzo konferencjami z przedstawicielami firmy samochodowej? Może nie ma jednej chwili wolnej?

— Nie wiem, nic nie wiem prócz tego, że jestem ogromnie zaniepokojona.

— Zatelefonujmy do Detroit i zapytajmy firmę samochodową o pana Rogera.

— A wiesz, że to doskonała myśl. To dziwne, że dotąd nie wpadłyśmy na ten pomysł.

Istotnie obie panie nie pomyślały o sprawdzeniu w firmie samochodowej, czy Roger był już tam, czy też nie. Połączenie telegraficzne otrzymały w ciągu godziny i na drugim końcu Stanów Zjednoczonych odezwał się czyjś męski głos. Kaja wymieniła swoje nazwisko i zapytała o Rogera.

— Nie, pani — usłyszała tragiczną dla siebie wprost wiadomość — mister Puroll do dnia dzisiejszego u nas nie był. Czekamy go z dnia na dzień. Byliśmy powiadomieni przez niego o terminie wylądowania w porcie, ale statek „Cornestone" zdążył już z powrotem do Afryki odpłynąć, a naszego dyrektora nie ma.

— I panowie nie interesowali się wcale jego nieobecnością? — spytała Kaja prawie z wyrzutem.

— Sądziliśmy, że pan Puroll pojechał uprzednio do Hollywood — rozległ się znowu głos w telefonie. — Ale skoro pani twierdzi, że tam w ogóle nie był, oznacza to, że coś tajemniczego z nim się stało. W takim razie jeszcze dzisiaj polecimy detektywom naszym sprawdzić to wszystko.

Kaja poinformowała jeszcze rozmówcę o pobycie w Nowym Yorku swego sekretarza mister Tear'a i prosiła o skomunikowanie się z nim na wszelki wypadek, aby poszukiwania prowadzić razem.

Miss de Rieth po skończonej rozmowie padła prawie bezwładnie na fotel i bolesne łkanie zerwało jej się w piersi. Daremnie Mady próbowała uspokoić przyjaciółkę, daremnie wysuwała najmądrzejsze racje, daremnie wreszcie sama spłakała się z nią — Kaja nie mogła wcale opanować bolesnego łkania.

Na szczęście zjawił się doktor Decay i z miejsca objął komendę nad wszystkim. Przede wszystkim zatem zaaplikował Kai krople na uspokojenie, a następnie wysłuchał szczegółowo opowiadania Mady o przyczynie dzisiejszej rozpaczy w tym zawsze dotąd wesołym i beztroskim domu.

— Coś niewątpliwie stało się — odrzekł na to mister Tom — ale nie należy z miejsca poddawać się rozpaczy. Poczekajmy na rezultat poszukiwań na miejscu pana Teara.

Lecz niebawem nadeszła depesza od Teara, która uderzyła bardzo mocno we wszystkich. Sekretarz powiadamiał mianowicie, że Roger wylądował w oznaczonym dniu w porcie nowojorskim, ale od tego miejsca wszelki ślad po nim zaginął. Co się stało — na razie trudno ustalić.

Kaja pod wpływem tej tragicznej dla siebie wiadomości popadła w zupełne odrętwienie, doznała uczucia pustki, goryczy i zniechęcenia. Siedziała nieruchomo, zapatrzona w jeden punkt i prawie nie odzywała się wcale. Nie odpowiadała nawet na pocieszające i pełne nadziei słowa Decaya. W końcu zaczęła wyrzekać.

— Oby nigdy nie był zjawił się ten dzień w moim życiu, w którym wzięłam udział w tym przeklętym konkursie i wylądowałam w tym kraju! — powtarzała. — Za nieroztropność, za zlekceważenie wielkiej miłości Rogera — teraz przychodzi kara.

Decay nic na to nie rzekł. Jego punkt patrzenia na wszystkie te tak modne ostatnimi czasy „konkursy piękności" był mocno krytyczny, nie szczędził też wysiłków i pracy, aby je zwalczać zarówno przez prasę, jak i przy pomocy wybitniejszych jednostek amerykańskiego społeczeństwa.

Ameryka w ogóle nie miała szczęścia do swych „królowych piękności". Słynna w swoim czasie „miss Mexico" — została stracona na krześle elektrycznym. „Miss Idaho" została zastrzelona przez detektywów na ulicach Chicago, gdyż okazało się, że była wspólniczką bandy gangsterskiej. Padła w walce z policjantami. Inna słynna piękność popełniła samobójstwo w skrajnej nędzy.

Ostatnio szpalty dzienników amerykańskich przepełnione były wiadomościami o „miss Arizonie", kobiecie, której fotografie znane były całemu światu. Winie Ma Kinnel, córka ogólnie znanego pastora anglikańskiego — otrzymała pierwszorzędne wychowanie. Na jednym z konkursów okrzyknięto ją królową piękności stanu Arizona z uwagi na jego nieprzeciętną urodę. Piękna Winnie stała się w ciągu jednego dnia sławną.

Podobna była jak dwie krople wody do Monny Lizy Leonarda da Vinci. Ameryka szalała za nią. Nadchodziły zewsząd propozycje występów, małżeństwa... Ojciec piękności, nieugięty purytanin — uparł się. Winnie wyszła za mąż za doktora Ruth. Małżeństwo nie było szczęśliwe. Doktor zaniedbywał piękną małżonkę. Winnie rozeszła się z mężem. Wyjechała do jakiegoś prowincjonalnego miasta i otrzymała pracę w laboratorium doktora Mac Kenna.

Tak, zdawało by się, zakończyła się jej kariera. Pewnego dnia na dworcu w Kalifornii, jakaś piękna pani chciała nadać przesyłkę kolejową. Był to sporych rozmiarów kufer podróżny. Zaciekawiony urzędnik obejrzał dokładnie kufer i stwierdził, że z jednego boku przesącza się ciecz podobna do krwi. Poprosił damę, by zechciała kufer otworzyć. Przypuszczał, że podróżniczka usiłuje przeszmuglować dziczyznę. Dama odpowiedziała zniecierpliwiona:

— Niech pan sam sobie otworzy!

Urzędnik pochylił się nad kufrem, usiłując zbadać jego wnętrze. Gdy podniósł głowę — tajemniczej damy nie było w pokoju. Urzędnik wyskoczył za nią. Zobaczył ją w chwili, gdy wsiadała do auta. Zanotował tedy numer samochodu i wrócił do kufra. Okazało się, że w kufrze umieszczone zostały ciała dwóch młodych kobiet, poćwiartowane nielitościwie. Brakowało tylko głów zabitych.

Właścicielem samochodu okazał się brat „miss Arizony". Zapytany o tajemniczą damę, odparł z prostotą, że była to jego siostra, która prosiła go o przewiezienie kufrów na stację. Wszczęto poszukiwania za morderczynią. „Miss Arizona" jednak dobrze się ukryła.

Poszukiwania nie dawały rezultatu. I oto pewnego dnia stacje radiowe przerwały swój wesoły program, a przed mikrofonem stanął pastor Mac Kinnel. Złamany starzec błagał wyrodną córkę, żeby oddała się w ręce policji i odpokutowała winę. Wezwanie poskutkowało. Na drugi dzień Winnie Ruth zgłosiła się w najbliższym komisariacie policji.

Ameryka miała nową sensację. Okazało się, że Winnie Ruth mieszkała wraz z dwiema asystentkami doktora Mc Kenna. Trzy wierne przyjaciółki poznały pewnego dżentelmena nazwiskiem Jack Halloran, który pokryjomu wszystkim trzem przysięgał miłość. Zazdrosna „miss Arizona" wpadła w szał — w nocy zakradła się do pokoju przyjaciółek i wystrzałem z rewolweru pozbawiła je życia. Następnie pokrajała swe ofiary i spakowała w kufer podróżny, zamierzając wywieźć je w jakieś ustronie. Nie udało jej się jednak i policja odkryła smutną prawdę.

Winnie Ruth skazana została na karę śmierci. Doktorzy stwierdzili jej całkowitą poczytalność. Ponieważ w stanie Arizona nie obowiązuje krzesło elektryczne, więc miano ją stracić przez powieszenie.

Wyrok miał zostać wykonany w dniu wielkoczwartkowym. Władze kościelne sprzeciwiły się profanacji święta, przesunięto więc termin o tydzień.

Na rozprawie apelacyjnej Winnie Ruth wpadła w szał. Poczęła wymyślać sędziom, bić policjantów. Oddano ją po raz wtóry pod obserwację, której wyniki brzmiały dość pomyślnie dla skazanej. Zamieniono jej karę śmierci na dożywotni pobyt w sanatorium dla umysłowo-chorych.

Skandale takie i podobne, jakie od czasu do czasu wybuchały dokoła królowych piękności zraziły społeczeństwo amerykańskie do tego rodzaju „zawodów". W wielu stronach zarzucono już nawet tradycyjne „wybory królowych". Ogół zaś społeczeństwa domagał się coraz silniej urzędowego zakazu podobnych igrzysk, „które przewracają uczciwym dziewczętom w głowach", jak stwierdzili wybitni przedstawiciele władz duchownych w Stanach.

A ileż to tajemniczych i tragicznych zdarzeń rozgrywało się w „raju filmowym" w Hollywood! Te jednak starannie bywały ukrywane w obawie skandalu i szeroka opinia publiczna tylko bardzo rzadko miała możność dowiedzenia się o tym lub owym wypadku.

Lecz Decay, który w Hollywood był jak u siebie w domu, wiedział wiele i widział wiele, mógł powiedzieć niejedno. Ot, choćby ostatnia tragedia, jaka się tu rozegrała zaledwie przed paru dniami. — Nikt o niej nie wiedział z szerszej publiczności, a jednak był to bardzo bolesny wprost dramat.

Historia japońskiego tancerza Pue-Pe zaczęła się jeszcze przed dwoma właściwie laty, kiedy to jedna z najbogatszych „gwiazd" Hollywoodu, by zapomnieć o ostatnim zawodzie miłosnym, wyruszyła w podróż do Singapur. W jednym z miejscowych music-hallów spotkała parę japońskich tancerzy: mężczyzna nazywał się Pue-Pe.

W egzotycznym kraju, pod najpiękniejszym na świecie niebem, wystarczyło kilka kieliszków szampana, by serce „gwiazdy" wiecznie młode — pomimo... 40 wiosen, zapłonęło głębokim uczuciem dla pięknego 20-letniego tancerza japońskiego. A ponieważ miłość robi kobiety wspaniałomyślnymi, „gwiazda" zaproponowała Japończykowi wyjazd do Hollywood i przyrzekła lansować go jako pierwszorzędną sensację. Mała Japonka, partnerka i żona jego, mniej sprytna i przebiegła od Europejki. — uwierzyła święcie słowom zagranicznej elegantki. A ponieważ otrzymała jednocześnie pokaźną ilość biletów bankowych, uważała za zupełnie naturalne wrócić do rodziców w Tokio, by tam oczekiwać powrotu małżonka lub rozkazów jego z Hollywood.

Tymczasem w Hollywood mały japoński tancerz został zainstalowany we wspaniałym bungalowie bogatej „gwiazdy" i wśród zabaw, wycieczek i coctailów zapomniał nie tylko o swej małżonce, ale i o... właściwym celu swej podróży do „filmowego raju".

Idylla trwała rok, wreszcie Pue-Pe otrzymał od swej żony list dłuższy, niż zazwyczaj, w którym ta donosiła mu, że dowiedziała się od znajomych z Hollywood, że jej ukochany żyje z inną i wobec tego... wyszła po raz drugi za mąż za innego tancerza, z którym wyjechała na tournée.

Dotychczas historia ta brzmi jak bajka z tysiąca i jednej nocy, gdyby nie to, że nazajutrz po otrzymaniu listu Pue-Pe popełnił samobójstwo przez harakiri, w mieszkaniu „gwiazdy". Tak bowiem nakazuje tradycja Japończykowi, który jest w niezgodzie ze swym sumieniem.

Decay znał dobrze tę historię z ust samej gwiazdy, gdyż wzywany był do jej mieszkania w czas jakiś po samobójstwie małego Japończyka, oglądał go i skonstatowawszy zgon, wydał świadectwo śmierci. Nie widział jednak dok'o' ra'mniejszego żalu lub skruchy u „gwiazdy", przeciwnie, dostrzegał tylko jej gniew na zmarłego, że naraził ją na kłopot.

Takie to tajemnicze dramaty dość często rozgrywały się w „raju filmowym", ale tych nikt nie filmował, nikt nie „kręcił" na taśmę, ale przeciwnie — czyniono wszystko, aby prawdę ukryć jak najgłębiej pod korcem.

Ci ludzie tutaj, dźwiękiem nazwisk, których zachłystują się pewne zmanierowane jednostki kinomaniaków całego świata, to nie byli ludzie zdrowi. To byli psychopaci, ludzie czczy, do szpiku kości zmanierowani, którym wątpliwej wartości sława, zresztą jak życie motyla krótkotrwała, uderzyła tak mocno do głowy, że tracili poczucie miary, przyzwoitości i realizmu. Nieliczne tylko jednostki potrafiły utrzymać się na wysokości swojej godności i powagi życia, ale i te, gdy ich już blichtr życia Hollywoodu zmęczył bardzo, najchętniej zamykały się na osobności lub uciekały pod inne szerokości geograficzne.

Kaja należała do tych jednostek zdrowych, odpornych, do jednostek posiadających charakter i wolę, ale i ona już czuła się zmęczona, wyczerpana i oczy całkowicie już prawie otwarte miała na prawdę życia tutaj. Dzisiaj zwłaszcza, gdy tajemnicze zniknięcie Rogera spadło na nią tak nagle, ta sława filmowa, której pragnęła jeszcze stosunkowo tak niedawno, wydała jej się ponad wszelki wyraz marną, przelotną, efemeryczną. Hollywood, to kalejdoskop, w którym wszystko zmienia się ustawicznie, bezustannie, gdzie to, co jeszcze wczoraj wydawać się mogło wielkim i trwałym, jutro schodzi do lamusa rzeczy niepotrzebnych i całkowicie zapomnianych.

Parę razy była na cmentarzu gwiazd filmowych w Hollywood, aby zobaczyć miejsce wiecznego spoczynku tych, którzy niegdyś, podobnie jak ona ostatnio, oślepieni blaskiem Hollywoodu, przybyli tu z nadzieją „unieśmiertelnienia się". Prawda,



Fot. Nina Lahelska

Odjazd!

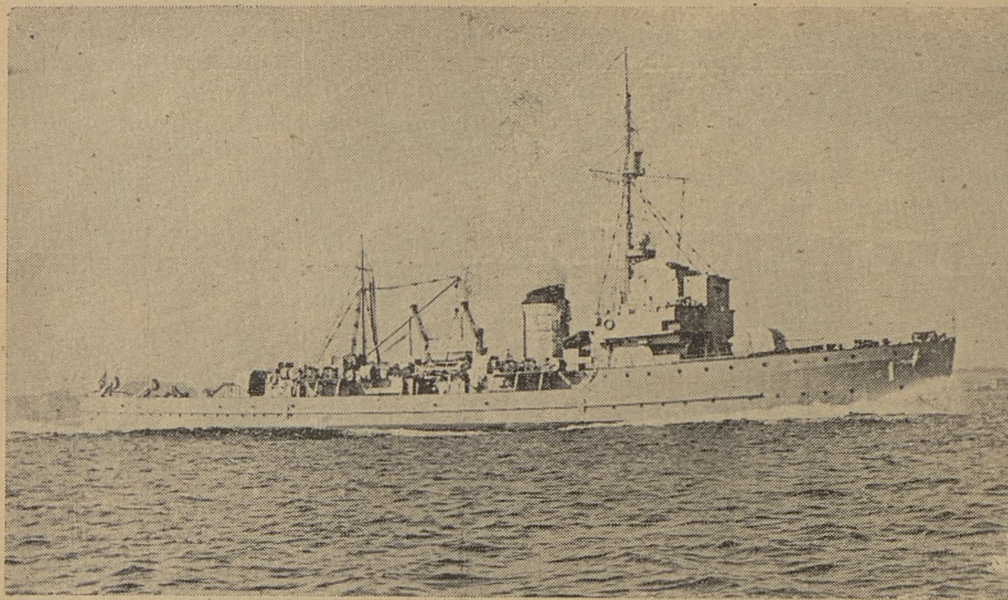
Trzask zamykanych drzwi.
Odjazd!
— — — gwizd przeraźliwy.
„Bywaj, bądź zdrów!"
„Żegnaj, bądź szczęśliwa!"

Miarowo stukocą koła
w pętlicach zwrotnic zawiłych:
tak to tak...
tak to tak...
żegna się miłość...

I coraz dalej i dalej
mknie pociąg w przestrzeń nieznaną —
— a tyle mi chciałaś powiedzieć jeszcze,
kochana...!

Samotność. Szary tor.
Ulice. Tłum obojętny.
Wieczór zapada nad miastem,
gwiazdami uśmiechnięty.
— — — — — — — — —
Północ. Budzę się nagle.
Za oknem wiatr szumi przeciągle —
i śpiewa mi o tęsknocie
odjeżdżających pociągów...

Józef Baranowski.



Niemcy zbudowali ostatnio nowoczesny poszukiwacz min „M. 1".

cmentarz ten był utrzymany wzorowo i przypominał raczej pięknie i pogodnie urządzony park, niż cmentarz, ale tym dobitniej właśnie świadczył o znikomości wszelkiej doczesności.

Dyrekcja cmentarza czyniła wszystko, aby temu miejscu wiecznego spokoju odebrać cechy ponure. Dlatego nie było tu prawie wcale mauzoleów; cała powierzchnia cmentarza pokryta była zieloną trawą, a groby oznaczone grupami kwiatów. Wiecznie zieleniejące drzewa stwarzały pozór ciągłej wiosny.

Tu i ówdzie tylko, między zielenią, przebłyskują posągi, jak np. biało-różowy pomnik „gwiazdy" filmowej Marii Dressler.

Jedno z nielicznych mauzoleów poświęcone jest pamięci Rudolfa Valentino. Liczne grupy wielbicielek talentu i urody tego aktora odwiedzają dość często to miejsce.

Wśród cmentarza rozrzucone są pawilony z marmuru, noszące nazwy różnych kwiatów i kwiatami tymi zdobne. Na czystej szybie jeziora pływają cicho białe łabędzie. Gdzieniegdzie z fontanny bije strumień wody, wpadając w piękną konchę, najczęściej trzymaną przez dziecko.

Wszystko to oddycha spokojem, ukojeniem i ma oddalać myśl o zgonie.

Ale Kaję najmocniej uderzył jeden dysonans: pośród cmentarza wznoszą się liczne plakaty, reklamujące tu miejsca i namawiające do nabywania placów zawczasu, według własnego wyboru.

I dlatego ten bardzo amerykański cmentarz zupełnie nie robił na Kai wrażenia chrześcijańskiego miejsca wiecznego spoczynku, na które zresztą, prócz wielbicieli najsławniejszych „gwiazd", mało kto przychodzi.

XV.

W PAŁACYKU NAD ERIE

Roger obudził się naraz, ale nie otwierał oczu, aby się rozejrzeć, tylko leżał w dalszym ciągu na jakimś dość miękkim przedmiocie i próbował sobie przypomnieć, co się z nim dzieje i gdzie się znajduje. Lecz świadomość bardzo powoli wracała do jego mózgu. W ustach czuł niesmak i gorycz, w piersi doznawał jakichś kłuć, których nie doznawał nigdy dotąd. Ostatnim momentem, który przyszedł mu na pamięć zaraz, to była chwila wpuszczenia do jego pokoju hotelowego gazu, który go zwalił z nóg. I od tego momentu nic już nie pamiętał. Po chwili otworzył oczy i usiadł. Rozejrzał się ciekawie dokoła i zobaczył, że znajduje się w bardzo eleganckim pokoju, umeblowanym z wyszukaną starannością, ale... bez okien. U góry w suficie płonęła lampa elektryczna w dużej ampli, rzucając na cały pokój matowe blaski.

Teraz dopiero Roger doszedł do niezbitego wniosku, że padł ofiarą zamachu jakichś tajemniczych osobników, którzy naprzód chcieli wymusić na nim zgodę na rozwód z Kają, a gdy to im się nie udało, zagazowali go i wywieźli z Nowego Jorku do tego oto budynku. Ale cóż to za budynek i gdzie się znajduje? Czego chcą od niego ci ludzie?

Domyślał się poniekąd, że tutaj w grę wchodzi głównie Kaja, ale ani na chwilę nie dopuścił podejrzenia, aby ona miała być w tę niejasną grę zamieszana, aby miała czyhać na jego zgubę. Nie, Puroll znał doskonale swoją żonę i nie mógłby nawet podejrzewać jej o to. Gdyby jej naprawdę zależało na rozwodzie, nie uciekałaby się wcale do podobnych metod, ale, doczekawszy się jego przyjazdu do Hollywood, powiedziałaby mu wręcz: „nie kocham cię już więcej, Rogerze, i dlatego proszę, abyś zgodził się na rozwód". Tak właśnie a nie inaczej postąpiłaby Kaja. Że zaś tak właśnie nie stało się, Roger był przekonany, że w całej tej aferze jest coś niejasnego i niewyraźnego.

Do pewnego jednak stopnia w błąd wprowadzał go list Kai, jaki wręczył mu rzekomy sekretarz żony, mister Avare. Charakter pisma był Kai. To nie ulegało żadnej wątpliwości. Jakże zatem miał to wszystko rozumieć. Cóż to wszystko znaczyło? Czyżby i Kaja znajdowała się w tej chwili pod czyjąś władzą? Taki list napisać mogła jedynie pod presją, pod naciskiem.

Tej zagadki Roger rozwiązać nie mógł. Postanowił więc czekać na zjawienie się jakiegoś człowieka, aby może z niego cokolwiek prawdy wyciągnąć. Jednakże mijały godziny, a w jego eleganckim pokoju bez okien nikt się nie zjawiał, jakby w całym tym domu nie było żywego ducha.

Jaka pora dnia była w tej chwili, tego Roger nie wiedział i wszelkie kombinacje na ten temat na nic się nie zdały. Byłaby to próżna strata czasu. Puroll powstał i przeszedł się przez pokój. Odczuwał lekkie zawroty głowy i nogi coś uginały się pod nim, a w piersiach doznawał ostrych ukłuć, zwłaszcza, gdy próbował mocniej odetchnąć.

— Jeszcze nie wyparował ze mnie wszystek gaz — pomyślał Roger. — Przypuszczam jednak, że nie zagazowano mnie tak, abym koniecznie musiał z tego powodu umrzeć. Chociaż... to wcale możliwe.

I w rzeczy samej, śmierć Purolla nie była w obecnych warunkach niemożliwością, gdyż ona właśnie przyczyniłaby się walnie do spełnienia się planów O'Conora.

Po długich oczekiwaniach na jakąś żywą duszę, zjawił się w końcu Hemlock we własnej swojej potężnej osobie.

— Jakże się pan czuje, mister Puroll? — zagadnął drwiąco gangster. — Spodziewam się, że nie masz pan do nas żalu z powodu niedość grzecznego obejścia się z nim?

— No, jak dżentelmeni nie zachowaliście się, to pewne — odrzekł Roger.

— Trudno, musi nam to pan wybaczyć. Skoro nie chciał pan spełnić naszej uprzejmej prośby po dobrej woli, musieliśmy zastosować przymus pierwszego stopnia. To była konieczność.

— Zdaje mi się jednak, że ta „konieczność" może was wszystkich zaprowadzić na krzesło elektryczne.

— Co ma wisieć, nie utonie. Przecież dwa razy nikt w życiu doczesnym nie umiera, może się zatem zdarzyć, że umrzemy nie swoją śmiercią, ale gwałtowną i wbrew chęci zgonu. To jednak kwestia dalsza. Czy pan nie głodny?

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Merry Fahrucy zdążyła już po raz czwarty wyjść za mąż, a ponieważ trzeci z rzędu rozwód został unieważniony, Merry Fahrucy stanęła wobec zarzutu bigamii

LUCYNA ROKOMYSKA

8)

Biały Płomień

Pani Ciembronowiczowa umilkła. Pochyliła się znów nad robótką.

Luta patrzyła chwilę na jasną twarz matki. A po tym wstała i przeszedłszy na drugą stronę stołu — przytuliła usta do ręki trzymającej szydełko.

— Dziękuję ci, mamo... — powiedziała.

— Już dawno nie czytałaś mi nic Luto — zmieniła pani Ciembronowiczowa temat.

— Będę znowu, mamusiu — uśmiechnęła się Luta. — Prędzej nam długa zima zejdzie.

— Myślałam, że pojedziesz po świętach do Basi? — Tak sobie uradzałyście w wakacje.

— Nie, mamo — nie pojadę jeszcze teraz... Pojadę na wiosnę.

— — — — — — —

Tak, pojadę tam na wiosnę — myślała Luta w chwilę później, rozbierając się do snu — bo chcę widzieć te pamiętne dla mnie miejsca — w tym samym czasie, co wtedy...

Będę chodziła tymi samymi, zielonymi miedzami, skrytymi w ścianach zbóż krasnych od bławatów i jasnej, soczystej czerwieni maków...

Pójdę co dzień stromą, kamienistą drogą do kościółka na górze; chodziłam wówczas z Andrzejem, do kościółka, wokół którego szumią zachwytem młodne drzewa...

Po mszy usiądę, jak kiedyś, na ławeczce pod lipą — posłuchać kapeli grających pszczół i napoję się słodką wonią rozlaną w powietrzu... A po tym, będę wracała patrząc na ośnieżone szczyty Tatr, widnych stamtąd jak na dłoni. I będę widziała wspomnieniem siebie idącą tu z Andrzejem i rzucającą dalekim Tatrom pocałunki od roześmianych, szczęśliwych ust...

Luta przytula twarz mokrą od łez do poduszki, szepcąc:

— Przypuszczam, że zapomnę — powiedziałam niedawno. Tam, dowiem się na pewno, czy zapomnę...

ROZDZIAŁ XXIX.

— Więc kiedy mianowicie urządzamy wigilię tego roku? — Czy pójdziemy za „Głosem Narodu" — czy za „Kurierkiem"? — pytała Pita, oblizując dużą drewnianą łyżkę z orzechowej masy. Miska stała na stole — czekając swojej kolei...

— Jak też mogłaś przypuścić, że Luta nas nie sterorryzuje... i nie każe pójść za kochanym Kurierkiem — zażartowała Basia.

— Mnie się zdaje Luto, że one poszłyby chętnie i za tą i za tą gazetą... Jedna wigilia jutro, a druga w niedzielę — prawda? — wtrąciła wesoło pani Ciembronowiczowa.

— Na pewno, mamo! — O, proszę tylko popatrzeć, jaka Pita zajęta miską... — odpowiedziała również wesoło Luta.

— Jak to wszystkiego się człowiek w życiu doczeka — uderzyła naraz Basia w rzewniejszy ton. — Pamiętam, jak ja i Pita byłyśmy takie duże — o! takie — że stanąwszy na palcach, z łatwością wkładałyśmy brodę na stół, a Luta dużo większa, to naszym największym pragnieniem było móc kiedyś ubierać drzewko. Przekładałyśmy to Lucie na miesiąc wcześniej — chciałyśmy ją przekupić obiecywaniem któregoś tam procentu z łakoci choinkowych na nas przypadających, uciekałyśmy się nawet do groźby, że wcale nie popatrzymy na drzewko, które ona ubierze... Nic nie pomagało! Nie dała się niczym ubłagać... To jej prawo i koniec! Przypominasz sobie Pita?

— Nie pamiętałabym? — Wolno nam było tylko w drodze łaski podawać z pudełek po jednym kawałeczku...

— W ogóle — nie najmilszym dniem — była dla nas w dzieciństwie wigilia — mówiła dalej Basia — dlatego też, że ty, mamo, przychodziłaś w ten dzień jeszcze później, niż zwykle. Już nie jedna, ale dziesiątki gwiazdek błyskało na niebie — drzewko było ubrane, a ciebie mamo nie było widać...

— A po tym — gdyś nareszcie przyszła — byłyśmy już takie śpiące, że nas nic nie cieszyło...

— Tak, w ten dzień było zawsze niezmiernie dużo roboty w sklepie. Myślałam ciągle o was... pragnęłam być jak najprędzej z wami, a nie mogłam.

Oczy pani Ciembronowiczowej zaszły łzami.

Zaraz jednak uśmiechnęła się do otaczających ją i całujących po twarzy i rękach córek, mówiąc:

— No, ale już wszystko przeszło, dzieci... I teraz jestem ciągle z wami!...

— A to, mamusiu — co Basia na końcu mówiła — to przesada!.. Nie było im tak znów źle, bo ja urozmaicałam czas, co parę minut „graniem"... A wybierałam jako w dzień świąteczny — same najlepsze kawałki — kończyła z humorem Pita.

— — — — — — — — —

Jest cudna, wyiskrzona gwiazdami noc grudniowa.

Mróz.

Po drodze wijącej się serpentyną aż ku białemu klasztorowi idzie pełno czarnych cieni...

Tu i tam błyskają latarki. Przed paru chwilami wybiegł z wyniosłych wież głos dzwonów. Niósł się przez mrok nocy... kołatał do jasno oświetlonych okien... wołał...

I oto teraz idą ludzie.

Pita idąca naprzód z Basią — obraca się do matki i Luty, mówiąc:

— Czy nie zdaje wam się, że to czasy pierwszych chrześcijan? Pełno na drodze osób, a cisza taka, jaka musiała być wtedy, gdy się szło na modlitwę do katakumb...

— Masz rację, Tusiu... — odpowiedziała Luta. — Jest jakiś przedziwny urok w tej świętej nocy. I może rzeczywiście w ten jeden dzień w roku całym — mamy dziecięcą, ufną wiarę dawnych chrześcijan...

— Bo nie ma chyba takiego człowieka, który by przy ślicznej, biorącej serce w niewolę — wieczerzy wigilijnej, nie życzył drugim serdecznie i... nie przebaczył wszystkiego, co miał do przebaczenia...

Głos Luty lekko zadrżał...

— Więc, gdy po tym — podjęła znów — rozejdzie się wśród nocnej ciszy głos dzwonów wołających na „Pasterkę" — idzie się z tęczą w duszy i bez zmrużenia powiek z Bogiem rozmawia...

Pani Ciembronowiczowa przycisnęła serdecznie mocno ramię córki do siebie...

Dochodziły do klasztoru.

Basia zostawiwszy Pitę — podeszła do matki biorąc ją z drugiej strony pod rękę. Poczęły wchodzić na ośnieżone stopnie prowadzące do wielkich drzwi kościoła, z których dolatywały do nich łacińskie modły, śpiewanej przez księży „Czarnej jutrzni".

Niebo w granatowej szacie przepasanej wstęgą mlecznej drogi, rozmawiało z ziemią błyskami milionów gwiazd...

Wzmagał się mróz.



W operze w Antwerpii wystąpił ostatnio z ogromnym sukcesem polski balet Władysława Kaweckiego.



Scena z aktu pierwszego „Legendy o Piaście" Jeżewskiej, wystawionej przez Teatr Szkolny Instytutu „Reduta" na Zamku

wchodziła głowa... — Nie myśl jednak, że siostry to przekonało! Orzekły, że „czuby" mogą pozostać na wierzchu...

Pamiętam — raz tylko ustąpiłyśmy dla świętego spokoju, ale widząc, jaką uciechę mieli studenci, gdyśmy defilowały tak ustrojone do kościoła, uknułyśmy spisek, że tylko do sieni tak; — więc po tym już zawsze, gdy siostra prowadząca nas znalazła się na ulicy... leciały z główi białe kapelusiki na jedną kupkę w kącie sieni, a ręce gorączkowo wkładały granatowe bereciki — schowane wcześniej gdzieś w rękawie, czy za dekoltem na ten cel.

— Trzeba było widzieć po tym — skończyła Basia wesoło, widząc z łóżka oburzoną minę siostry — gdy oglądnąwszy się ujrzała nagle niespodziewany widok...

ROZDZIAŁ XXX.

Zima odbiegła wstecz.

Przyszła wiosna wczesna i tak piękna, jakiej dawno nie było!

Po świętach wielkanocnych Luta pojechała z Basią. Szkoła, w której uczyła Basia, stała na dość dużym wzniesieniu, w ślicznym, słonecznym miejscu. Przed nią, niby trzy olbrzymie stopnie, spadały aż ku strudze płynącej opodal, trzy usypane z ziemi „tarasy", przystrojone klombami przeróżnego kształtu; był to ogródek dzieci szkolnych.

Teraz kwitły zaledwie narcyzy, bratki i malutkie, ukryte skromnie w listkach — pachnące cudnie fiołki.

— Na wiosnę tu mało kwiatów — usprawiedliwiała puste klomby Basia — ale zobaczysz w lecie, a szczególnie w jesieni, gdy zakwitną kolorowe astry i kwiaty „wszelakiej możliwości" — prześliczne w barwie i kształtach dalie...

Z okien szkoły widziałeś płynącą kręto wstęgę Dunajca — i strojne w najrozmaitsze pola i pólka, okoliczne wzgórza. Z tyłu budynku zaglądały do okien najwdzięczniejsze z drzew: brzozy — tworzące tu niewielki zagajnik i rosłe krzaki tarniny, obsypane całe w tej porze okiścią białego kwiecia...

Szkoła była jednoklasówką, więc Basia uczyła przed południem i po południu. — Dzieci przeważnie licho ubrane, z zabiedzonymi buziami, wesołe jednak były i rezolutne. Nauka nie odstraszała ich widać, bo rano jeszcze siódmej godziny nie ma, a tu już tup, tup, tup po schodach...

— Patrz, jak cię to uczą rannego wstawania... — skarżyła się żartobliwie Basia. — Bo spać się już teraz stanowczo nie da — zobaczysz, jaki tu za chwilę gwar będzie!

— Jak się to wszystko odmieniło... — uśmiechnęła się Luta. — Pamiętasz Basiu, jak my byłyśmy małe, to nas trzeba było gwałtem do szkoły wyganiać... Ciebie i Pitę jeszcze nie tak, ale ja; czułam się w ówczesnej szkole — bezgranicznie nieszczęśliwa! Nie mogłam się nigdy z tym pogodzić, że trzeba było całą, straszliwie się dłużącą godzinę — przesiedzieć z rękami założonymi w tył... lub dla odmiany — trzymać je wyłożone na ławce... równiutko, jedna koło drugiej... Brrr! Wstrętny rygor!

— I ani głową nie wolno było ci skręcić — biedny, mały człowieku... — rozżalała się Luta jeszcze teraz. — A gdy raz zachciało mi się wejść do klasy po pauzie nie „porządnie", jak Bóg przykazał w „pary" — tylko na jednej nodze, to za karę kazano mi klęczeć całą godzinę! Klęczałam. — A po godzinie, gdy mi nauczyciel powiedział łaskawie, że mogę iść na pauzę — zemściłam się w ten sposób, że nie poszłam; nie poszłam też po tym do ławki mimo parokrotnego rozkazu... Klęczałam już do końca nauki wierząc naiwnie, że nauczyciel „pęka" ze złości...

— A tu... najprawdopodobniej nauczyciel nie przejmował się tym wcale — a ja ledwie zaszłam do domu na ścierpniętych nogach — kończyła ze śmiechem Luta.

— To ja też podobnie walczyłam w internacie z zakonnicami... — przypominała sobie Basia. — Chciały koniecznie zrobić z nas niemodne panny. Teraz, na pewno nie zważałybyśmy na to, ale wówczas, wydawało nam się szczytem śmieszności nosić beret na czubku głowy, gdy moda nakazywała nosić go włożony głęboko na czoło... W taki zwyczajny dzień, nie robiłyśmy kłopotu, ściągało się w sieni przed wyjściem na ulicę — beret z wierzchołka głowy na oczy i poszło się do szkoły. — Ale w niedzielę było daleko gorzej: „siostry" chciały się pochwalić seminarzystkami, więc na niedzielę obowiązywały internackie małe kapelusiki z białego płótna. — Kapelusiki trzeba było naturalnie nosić z czoła. Kilka mających już krótkie włosy — godziło się po chwilce perswazyj ze strony zakonnic — reszta zaś mająca długie włosy i uczesana „w czuby"... ani słyszeć o tym nie chciała... Bo, wyobraź sobie: — opowiadała dalej ze śmiechem Basia — kapelusik był tak mały, że chociaż weszła do niego głowa — to „czuba" ani rusz wejść nie chciała... na odwrót: jak weszła „czuba" — to nie

ROZDZIAŁ XXXI.

Już miesiąc minął, jak Luta gościła u Basi, a nie była jeszcze nigdzie dalej. Ciągle nie miała odwagi...

Z miejsca, gdzie stała szkoła — nie było widać ani kościółka na górze, ani domku, w którym przed laty mieszkała z Andrzejem.

Więc na razie nic nie przypominało przeżytych tu dni szczęścia... Burza w sercu przycichła... nie miała bowiem czasu na samotne rozmyślania.

Klasa, gdzie się uczyły dzieci, była po drugiej stronie sieni, więc wszystko, co się tam działo, dochodziło do Luty. — Poza tym Basia mając mieszkanie na przestąpieniu, wpadała na każdej przerwie, opowiadając to i owo o dzieciach. Rozrywało to cudownie Lutę; kierowało myśli na inne tory...

Poczęło ją interesować wszystko to, co interesowało Basię. — Dopytywała się, jak się które dziecko — znane jej z widzenia — uczy, jak daleko mieszka i w jakich warunkach żyje w domu.

Basia znała już całą wieś; w każdym prawie domu była, więc prowadziły niekończące się rozmowy na temat doli, czy niedoli — podhalańskiego chłopa.

Nauczycielka w takiej zapadłej wiosce, odciętej całkiem od szerszego świata — to lekarz, wyrocznia we wszelkich poważniejszych sprawach i najbliższa pomoc w razie jakiego nieszczęścia, czy potrzeby.

Więc ciągle przychodziły do szkoły kobieciny, kłaniające się panującym tu zwyczajem ręką do kolan pani i panienki, jak Lutę nazywały z powodu szczupłości i małego wzrostu i opowiadały rozwlekle, ale niezmiernie obrazowo o sprawie, z którą tu przyszły...

Czasem był to tylko ból zębów, przecięcie sierpem ręki, którą Basia odwijała z niezbyt czystej szmaty, wymywała spirytusem i zawijała inaczej — czy jakaś inna drobnostka. Ale były także sprawy nierównie poważniejsze, gdy okazywało się, że Franuś, czy jakiś inny chłopczyna nie będący od paru dni w szkole, leży od tychże paru dni — i „taki gorąc od niego bije, że strach"....

W takich razach ubierały się obie z Lutą i szły z matką dziecka przejętą mocno, a nic nie umiejącą pomóc, do niskiej, nędznej chaty, gdzie zastawały na łóżku przykrytym jakąś szarą płachtą — dziecko rzeczywiście chore. Tu już Basia nie umiała sama po-

Ciąg dalszy na str. 973.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

DO ŚW. MIKOŁAJA

Z dalekiej idziesz krainy
i hojne nam niesiesz dary —
zostawiasz błękitu pas siny
i wchodzisz w krąg zdarzeń szarych.

Na ziemi ręce wyciąga:
nędza okrutna, niesyta —
dobroci serca urąga,
głodu zębami wciąż zgrzyta...

Ubogie czekają cię dzieci,
smutno im żyć i nieswojo —
może im szczęściem zaświecisz,
użyczysz ciepła ze zdroju...

Z dalekiej idziesz krainy,
przez śnieżne podążasz pola —
za tobą błękitu pas siny,
przed tobą sieroca dola...

Maria de Schoenfeld Hayderowa.

DOBRE RADY PANI ZOFII

POWIEDZ MI!

„Urszulka spod Grudziądza". Dawno już nie rozmawiałam z Tobą, Dziewczynko! Przyczyną było zatrzęsienie pracy.

Powiedz mi, czy jesteś jeszcze w Toruniu? Komunikatów nie zamieszczam, powetujesz to sobie w liście, na który niecierpliwie będę czekała. Nie sprawisz mi zawodu — prawda? Więc bądź kochana i napisz!

KOMUNIKATY

„Mary". No, Twój pseudonim już zmieniony, a ja w tej chwili odpisuję jeszcze na list, podpisany dawnym. Czynię to dla zamieszczonych w nim komunikatów.

Bywaj mi i pisz!

Komunikaty:

„Kalino", przesyłam Pani pozdrowienia i proszę o liścik. Panie „Belfrze", czekam na odpowiedź! „Kresowianko z Wołynia", może do mnie skrobniesz, bo i ja pochodzę z Wołynia. „Kresowiaku", znam dobrze Leszno, bo mieszkałam tam przez 8 lat, może Pan do mnie napisze? „Rowerzystko z Poznania" — może i Ty do mnie skrobniesz parę słów?"

LOTOSY

Gdzieś tam, w krainie cudnej, wyśnionej
strojne w tęczowe, przeźroczyste rosy,
wybryk fantazji mojej rozmarzonej
kwitną lotosy...

I wzrok do siebie przykuły wszechwładnie,
że się me oczy same ku nim wloką...
Wyciągam ręce, bezwładnie
gdzieś tam daleko...

Usta mi płoną gorączkowym żarem...
One krew wszystką z serca wyssały,
Duszę potężnym owładnęły czarem,
życie zabrały.

Eleonora Klidzia.

OBIERZ INNY PSEUDONIM

B. Irena — Lwów. Obierz, Dziecinko, inny pseudonim, bo „Śpiąca królewna" jest już w naszym gronie.

Nie wątpię, że i Ty znajdziesz kogoś sympatycznego w „Rodzince", choćby dlatego, że sama jesteś ogromnie sympatyczna, a to pociąga ludzkie serca.

Więc zmień szybko ten pseudonim — czekam!

KOMUNIKAT SKREŚLIŁAM

„Góraleczka". Jeden z tych listów już znalazłam i skreśliłam w nim komunikat, teraz pozostaje mi znaleźć jeszcze drugi.

CZEKAM!

„Zefir Zachodu". Czy już wróciłeś z ćwiczeń wojskowych? Jeżeli tak, to napisz mi dużo o sobie.

Posyłam Ci moc dobrych życzeń i czekam!



Jasny uśmiech rozpromienia twarzyczkę **„Irusi z Wołynia"**

WSZYSTKO SIĘ ZMIENIA...

(Żarcik)

Panu K. — jako odpowiedź na Jego ciągłe zapytania — poświęcam.

Cóż, wszystko jakoś
na świecie się zmienia,
tylko nic się nie zmienia
w moich kieszeniach...

Zawsze są bowiem
te same dziury,
przez które by przeszedł
nasz kotek bury...

I mimo, że jestem
marnotrawców wrogiem —
niestety — złotego
oszczędzić nie mogłem...

Lecz teraz daję
słowo najszczersze,
że wszystkie grosze
włożę za wiersze —

Kieszenie zaszyć
jutro już każę,
żeby gotowym być
w każdym razie...

A jeśli za wiersze
nic nie dostanę...
to już oszczędzać
całkiem zaprzestanę...

Bo zrozumiałą jest
rzeczą —
z czego, za co —?
chyba — że za moje wiersze
znów suto zapłacą...

Jan Feliks Płóciennik.

CZY POZWALASZ ZAMIEŚCIĆ?

„Róża — Leśna". No, mam już to Twoje zdjęcie! Ładnie na nim wyglądasz — jesteś zgrabna i silna. Czy wolno mi je zamieścić w „Krainie"? Bardzo chętnie bym to uczyniła!

Na razie kończę, lecz spodziewam się, że jeszcze nieraz z sobą pogawędzimy. Bywaj!

DLACZEGO NIE PODAŁEŚ ADRESU?

„Zielone oczy". Dlaczego to nie podał Pan swego adresu, zgłaszając swój akces do „Krainy"? Proszę czym prędzej to uczynić, bo nie chciałabym Ci odmówić przyjęcia, jako że wyjdzesz mi się być miłym!

Więc spiesz się — ja cierpliwie poczekam!

WIERSZYKI ODDAŁAM WUJKOWI JANUSZOWI

„Maleńka Halszka". Miałaś już odpowiedź w „Krainie" w nr. 46, a dziś chcę tylko dodać, że wszystkie Twoje wierszyki znajdują się w teczce Wujka i czekają na swoją kolejkę.

Całuję Cię serdecznie!

WYSŁAŁAM!

„Es. ba 150". List Pani wysłałam na wiadomy adres. Dlaczego nie napisała Pani nic więcej?

Pozdrawiam!

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są: „Lechisław", „Ciseńka", „Czarny Hajduczek", „Słowianka", „Honorata", „Zadumana Renata", „Podchorąży z Grudziądza", „Efret", „Educh", „Feli" i „Marzące Oczy".

ABY ŚW. MIKOŁAJ NIE ZAPOMNIAŁ!...

„Wa - Ga". Dziękuję Pani za słowa uznania dla mej pracy i zapewniam, że daje mi ona dużo zadowolenia.

Za zadania, nadesłane mi do „Chwili zastanowienia" składam serdeczne Bóg zapłać!

Życzę Pani, aby św. Mikołaj o Niej nie zapomniał i obdarzył Ją hojnie, a także tę biedną panienkę, o której pukasz do litościwych serc „Krainiaków".

„Halo! Pukam do dobrych serduszek, czułych na niedolę bliźniego! Otóż dostałam list od biednej dziewczynki ze Śląska. Jest krawcową w małej wiosce, ma chorą matkę, 6-cioro rodzeństwa małego i już dwie siostrzyczki umarły z głodu. Ojciec od paru lat nie żyje. Cierpią nędzę, głód i chłód. Prosi ona o poratowanie przed nadchodzącą zimą. Może jakie stare ubranie, obuwie, lub parę złotych. Ja chętnie pomogę, ale może jeszcze znajdzie się dobra dusza i poratuje — Bóg wynagrodzi. Adres: Maria Wagówna, Zbąszyń, Nadnie 6. G. Śląsk.

Halo! „Bol. ze Śląska" — prawda, że sobota jest miłym dniem w tygodniu, bo listonosz przynosi „Moje Powieści", gdyby nie one, nie znalibyśmy się wcale. Proszę przyjąć wagonik miłych pozdrowień.

Panu Józefowi Baranowskiemu składam moje uznanie za ładne wiersze, szczególnie podobał mi się wiersz „Li — Wong". Lubię bardzo kraj wschodzącego słońca, podobał mi się ogromnie film „Markiza Yorisaka" i przeróbka z opery „Madame Buterfly". Gdy byłam jeszcze dzieckiem i jeszcze później w szkole, nazywano mnie „Japoneczką" lub „Cipcia Drypcia, Limpomponi". Byłam drobna, miałam ładne długie włosy i nieco skośne oczy, na zabawy dziecinne przebierano mnie zawsze za Japonkę. Dziś rysy mi się zmieniły zupełnie i w niczym Japonki nie przypominam. Może to wspomnienie z dziecinnych lat sprawiło, że czuję dużą sympatię do Japonii. Dlatego proszę, tak bardzo ładnie proszę, niech Pan poświęci dla mnie jakiś wierszyk o Japonii. Pozdrawiam!"



Ten wymowny obrazek z okolic **Podhala** budzi w nas wspomnienie jasnych dni upojnego lata

OCZEKIWANIE...

Przyjdź, zanim ogień mych piersi nie strawi!
Jest wieczór — taki sam jak wczoraj,
Jest wieczór taki od kilku miesięcy,
Co dzień jednaki...
Czekam i nasłuchuję, czy nadeszła pora.
Na piersi splotłem ręce...
Zamarłem w oczekiwaniu
I marzę o tym spotkaniu...
Co dzień goręcej!...

Przyjdź! Czemu tak długo zwlekasz?
Przyjdź, zanim ogień mych piersi nie strawi!
Znasz przecież drogę!...
Czuję, jak życie w tęsknocie ucieka,
Widzę cię wciąż na jawie —
Milczę i czekam z uporem —
Czekam na Ciebie wieczorem
I ból mnie dławi!...

Eugeniusz Kłosowski.

CZY NASTĄPIŁA POPRAWA?

„Żymetka“. Fotografię Twoją, Dziecino, dałam już do „Krainy“ — przypominasz sobie zapewne.

Powiedz mi, co z Twoją astmą? Czy nastąpiła już poprawa? Jeżeli nie, to napisz, a postaram się podać Ci sposoby jakiejś nowej skutecznej kuracji. Lecz się pilnie, bo zdrowie jest sprawą niebłahą!

Pozdrawiam mile i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„P. A. W. z Chr. p. Bydgoszcz — przesyłam Panu radosny uśmiech z zapewnieniem wiernej przyjaźni.

„Czarnulko z Grudziądza“, miłe wrażenie pozostawiła mi ta godzinka naszej rozmowy w tym hotelu. Nie gniewaj się na mnie, iż wszystko złożyło się tak niespodzianie.

„Uszi“, słyszałam wiele dobrego o Tobie od „Czarnulki z Grudziądza“. Czy masz zamiłowanie do swego zawodu?

„Lang - Cheng“ bardzo mi się podoba na zdjęciu w „Krainie“. Czy jeszcze jesteś bardzo smutną dziewczynką? Może byśmy się wzajemnie zrozumiały, czy zechcesz napisać do mnie?

„Rybaku z Helu“, dlaczego nie odpisałam? Później się dowiesz.

„Marusiu i Zosiu“, czy zdecydowałyście się pisać do mnie? Przyjmijcie serdeczne pozdrowienie i moc dobrych życzeń. Wszystkim „Krainiakom“ bez wyjątku nieskończoną ilość pozdrowień“!

HALO!

„Dzikie dziewczęta znad Sanu“. Przyjmuję Was, Dzieciny, do naszego grona i przedstawiam Waszymi własnymi słowami:

„Jest nas dwie. Lubimy sport, taniec, kino, muzykę i radość! Mieszkamy na wsi, w leśniczówce, położonej w pięknej okolicy nad Sanem. Oczy mamy niebieskie, figlarne, włosy długie, jasno-blond, wzrost więcej niż średni. Koniecznie pragniemy nawiązać kontakt z „Krainą“ i przysięgamy na brodę proroka, że odpowiemy na każdy list. Poślemy również zdjęcia.

Dla wszystkich członków „Rodzinki“ przeznaczamy moc serdecznych uśmiechów, a „Dzikusce znad morza“ niemniej dużo dzikich uścisków! Może zechce napisać do nas!...

ZAPOMNISZ!

„Łza“. Pseudonim Twój zmieniłam na ten, pod którym właśnie piszę do Ciebie, Dziecino! Jasne, że przez to, iż rozmawiam na tym miejscu z Tobą, stajesz się członkiem naszej „Rodzinki“.

Piszesz z takim ogromnym rozgoryczeniem, a ja Ci mówię, że Twój ból nie należy jeszcze do kategorii tych największych i łatwo mija. Kto wie, czy dziś pamiętasz jeszcze o nim. Jeżeli nawet nie przebolałaś tej sprawy jeszcze, to zapewniam Cię, iż nastąpi to wkrótce. Możesz mi wierzyć, bo znam się na tym.

Życzę Ci zadowolenia w korespondencji z „Rodzinką“ i zamieszczam komunikaty:

„Mała Konwalijko“! Piszesz, że czegoś Ci brak — może za jednym tęsknimy? Posyłam szczery uścisk dłoni.

„Irusiu z Wołynia“! Odezwij się do mnie! Ja też kilka lat temu, mieszkałam na Wołyniu. Może niedaleko Ciebie?

„Nieznana“ — może my się zrozumiemy? Posyłam Ci dobry uśmiech!

„Smutna i brzydka Irko“. Zmień pseudonim, boś wcale nie smutna. Wiesz co? Całuję Cię!

„Młody Orle“ — może pogawędzimy troche? Ja bardzo kocham lotnictwo.

„P. Mieczysław Grzegorski“! Ślę Panu szczere słowa uznania, za wiersz „Czemu?“, poświęcony P. Adamowi Czekalskiemu.

No, a teraz żegnam Was, i posyłam miłe pozdrowienia, wszystkim nieznanym, a równocześnie bardzo proszę, o jak najliczniejsze listy dla mnie!“

WEŹCIE POD UWAGĘ MOJE SŁOWA!

„Maryna“ pisze do nas tak serdecznie, że grzechem by było nie odpowiedzieć jej gorącym odzewem życzliwości i sympatii. Proszę, abyście to wzięli pod uwagę, Drodzy moi!

Przytaczam tu wyjątek z jej listu:

„Cała Pani „Krainka“ i „Krainiacy“ wydają mi się jakąś przedziwną fantazją, bo przecież dziwną i fantastyczną to jest rzeczą, zbliżyć do siebie z różnych stron najróżniejsze osoby, powiązać zainteresowania, sympatie i zrozumienia!

Pani jest w tej „Krainie“ dobrą królową, która razem z Wujem Januszem sprawuje rządy nad wiernymi „Krainiakami“. Chociaż może bym Panią nazwała lepiej „Dobrą Wróżką“, która posiada serca swoich poddanych i na wszystko znajdzie radę!

I cała ta „Kraina“ nie jest wcale taką zwykłą sobie rzeczą, wprost przeciwnie, niezwykłym zjawiskiem czymś przedziwnie „innym“ niż wszystko na świecie!

Elokwentną nie jestem i nie potrafię w słowach oddać tego, co czuję.

Zwracam się do Pani z gorącą prośbą, aby zechciała mnie przyjąć w Swój cudny krąg i przydzielić jakiś skromny kącik w tej przedziwnej „Krainie“.

Co do mnie, to muszę zaznaczyć, że jestem mężatką i matką 2-ga synów, co mi jednak nie przeszkadza, bym interesowała się czymś tak pięknym i oryginalnym, jak „Kraina“. Jestem sentymentalna, lubię przyrodę, lubię wymianę myśli i zwracam się z gorącą prośbą do „Krainiaków“, by przyjęli mnie w swoje grono..

Nie umiem i nie potrafię o sobie pisać, i wszystko to wypadło blado, ale może przecież uchwycę jakąś bratnią duszę i wołanie moje znajdzie oddźwięk?“

SĄ TAKIE DNI

Są takie dni, przedziwne dni,
gdy szedłbyś w dal bez granic i końca,
gdy w oczach twych palą się łzy,
a dal pociąga, jak łuna gorejąca.

Tak dziwnie wtedy wszystko się rwie
gdzieś w dal zsiniałą i bezkresną.
I myśl za myślą naprzód mknie,
jakby w tęsknicy znów za wiosną.

Są takie dni, przesmutne dni,
w których się ból roztapia i rozlewa,
w których się serce kurczy ci
i więcej wiosny nie spodziewa.

Lecz z czasem ból i smutek ten
ginie w przepaści dni już zbiegłych.
Ty to wspominasz, jak zły sen,
sen z dni ogromnie już odległych.

I to jest życie, życie po kres,
życie jednostek i tysięcy.
Szkoda więc w dni te naszych łez,
szkoda wspominać, co boli nas i męczy!...

Adam Czekalski.

ZAŁATWIŁAM!

„Wędrowny Trubadur“. Mam przed sobą wszystkie Pana listy i stwierdzam na podstawie każdego z osobna i wszystkich razem, że ogromnie jest Pan niecierpliwy. Ale to nic, jakoś chyba uda nam się żyć w zgodzie.

Sprawy, o które Panu chodziło, załatwiłam już prywatnie.

Korespondować z członkami „Krainy“ może Pan, jak wszyscy inni. A jeżeli zechcesz przesłać list na jakiś pseudonim, to przysyłasz go do redakcji w zaklejonej kopercie z pseudonimem, dołączasz znaczek 25 groszowy, a ja dosyłam go na właściwy adres.

Życzę Panu wszelkiej pomyślności i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Pragnę nawiązać kontakt listowny z „Nadmorską Syreną“, „Mary“ i „Uranem“.

Całą „Krainę“ serdecznie pozdrawiam“!

BRAWO!

„Irek“. Odpisuję na Twój ostatni list z „cywila“ i ten następny już z wojska.

Owszem, otrzymałam pozdrowienia od „Juśki“ i Ciebie z Pomorza i bardzo za nie dziękuję!

Rozstrzygnięcie, czy ułożona przez Ciebie pieśń krainiacka jest dobra, pozostawiłam Wujkowi Januszowi. Zobaczymy, co on o niej powie!

Fotografię Twoją zamieszczam.

Wiem, że byłeś onegdaj w redakcji, ale mnie wówczas, niestety, nie było! Niemniej zdziwiła mnie miłe wiadomość, że znowu odwiedziłeś, dobrze już Ci znane, nasze kątki.

Uśmiałam się z tego tak szczególnie wyrażonego życzenia, abym do Ciebie nie zwracała się więcej per „Pan“: „Kochana Ciotuniu! Proszę się więcej do mnie nie zwracać per „Pan“.

Postaw, proszę Cię, tego wielce szanownego p. w ciemny kąt, niech go tam zasnuje nić pajęcza, a swego „Irka“ nazywaj już zawsze siostrzeńcem, synkiem, czy jak tam wolisz, ale zawsze per ty. Wcale nie licuje miano pana z moim młodym wiekiem i stosunkiem naszego krainiackiego „pokrewieństwa“.

Brawo! Więc będziesz już odtąd zawsze moim miłym kuzynem, którego się lubi i można mu w niehumorze dać srogą burę, a nawet czasem postawić do kąta, aby znał mores przed swoją władczą „Kuzynką“.

Kuzynka w tej chwili uśmiecha się łobuzersko (jest jak prawdziwa kuzynka — młoda i wesoła) i komenderuje żołnierzykowi ze Lwowa: Baczność!

Na ramię broń! Prezentuj broń! (Wujek Janusz kazał podziękować Ci za nadesłane sobie życzenia z racji Janusza).

No, załatwiłam! Zatem: Na ramię broń! Do nogi broń! Spocznij!...

Jakże wypadł pierwszy etap służby u despotycznej kuzynki? Nawiasowo zdradzić Ci mogę, że słowa komendy podpowiadał mi Wujek Janusz, jako że to „wojskowy chłop“ — niech się posłużę Twoim własnym określeniem!

Rację masz, że będę musiała postarać się o nowy album do fotografij „Krainiaków“, bo stary już zapełniony do ostatniego miejsca.

Wierszyki Twoje ma już Wuj Janusz w swej wypchanej do niemożliwości teczce.

A teraz bywaj mi zdrów!

Komunikaty:

„Pozdrawiam „Duśkę“ i „Jutrzenkę“! Wszystkim znajomym ze Żnina ukłony! Koleżankom i kolegom z Gniezna, z którymi nie zdążyłem się osobiście pożegnać, rzucam wesołe: bywajcie!

I jeszcze serdeczności dla wszystkich mi osobiście znanych „Krainiaków“.

Zaś Ci, którzy mnie jeszcze nie znają, a mieliby po temu ochotę, proszę i zachęcam, aby napisali. Adres u p. Zofii“.

NIE SMUĆ SIĘ!

Dobrej, kochanej „Barci“ na Dzień Imienin — poświęcam

Wiosna powróci i w Twoim życiu
Znów cudne, jasne zaświeci słońce,
I radość, szczęście do serca wróci,
Ból Twój przeminie, smutek się skończy.
Uśmiech na bladych zakwitnie licach
I znów zobaczysz świat w pełnej krasie,
Dusza przedziwnej nabierze mocy,
Pełni młodzieńczych snów i uniesień.
Bo życie Twoje, Droga Dziewczyno,
Jedno wypełni tylko pragnienie,
Być szczęśliwą, ach być tą jedyną,
Być kochaną, być jego marzeniem.
I sama wtedy nie pojmiesz wcale,
Jak usta cicho wyszepcą „kocham“,
I wszystkie dawne ustąpią żale,
Ze szczęścia serce pocznie aż szlochać.
I znów zawołasz, że świat jest uroczy,
Że wartość ma znów życie człowieka,
Bo szczęścia uśmiech i jasne oczy,
Codziennie będą na kogoś czekać.

„Blanka“.

KTO WYBIERZE SIĘ Z NIM?

„Pell“. Nasz dobry znajomy „Pell“ powrócił we wrześniu z raidu motocyklowego, podczas którego — jak pisze — jedną miał tylko „panę“ i dwa „wpryśnięcia“ do rowu z szybkością 70 km. na godz., z których wyszedł na szczęście cało, nie licząc potłuczonej latarni i skrzywionego błotnika.

Zdjęcia z tego raidu oglądaliście już w „Krainie“.

Na przyszły rok wybiera się nasz motocyklista na nowe objazdy i oznajmia, że chętnie odwiedzi tego i owego członka „Krainy“. Na razie pozdrawia.

JAK NIE NAPISZESZ, BĘDZIE BURA!

„Eros“. Napisz mi jak najszybciej, Siostrzeńcze Miły, jakie rozwiązanie znalazły Twoje zmartwienia i czy owo zapalenie okostnej minęło bez groźniejszych następstw? Strach, jak niepokoję się o Ciebie!

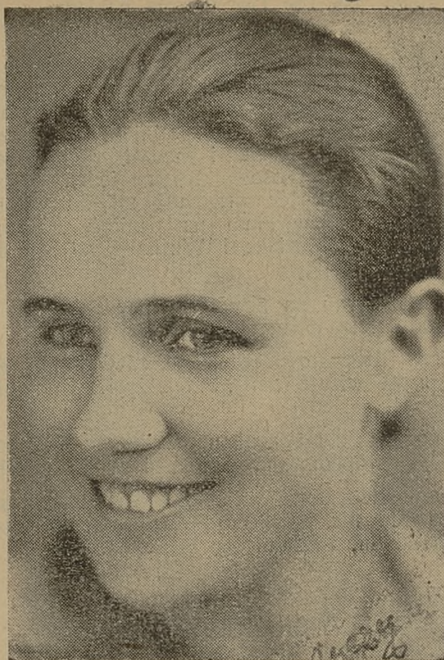
Napisz szybko, inaczej dam burę, że ha!

Komunikaty:

„Pilotka“. Dziękuję za zwrot. Dlaczego tak tajemniczo? Przyjm serdeczne życzenia imieninowe. Napisz.

„Dafne“. Ślę serdeczne pozdrowienia i czekam na odzew!

„Bajko“. Moc miłych wrażeń w podróży. Bywaj!



Oryginalną urodą odznacza się nasza zdolna sympatyczka, której pseudonim brzmi: „Uśmiech Szatana“

„Waldemiro“. Skapitulowałaś? Pozdrawiam. Kiedy znowu będziesz goniła po Gdańskiej?

Wszystkim, którzy przesłali mi pozdrowienia, dziękuję i odwzajemniam je szczerze!

Całej „Krainie“ wesołe pa i radosny uśmiech!“

NASI KRAINIACY...

Zainteresowanym — dedykuję.

Jest sobie miłe dziewczątko —
Mały berbeć, wielka mina,
Nazywa się „diom — diątko“,
A pseudonim: „Zuch Dziewczyna“.
Lecz serduszko u Niej złote,
Pełne zawsze jest litości
— Pisać o Niej mam ochotę,
Bo wiem, że się nie rozzłości.
Lubi czasem też dokuczyć —
Raz na przykład „Wirrytowi“,
Chcąc Go niby to nauczyć,
Czego? — To niech sam odpowie.
A... i „Biała Uajali“...
Dokuczyć Mu także chciała,
(Proszę byście się nie śmiali!...)
Biedna sama się wsypała.
Napisała liścik skromny,
Chociaż w nim niemiłe słówka,
A w zamian ten „Pan Ogromny“
Zrewanżował się pocztówką.
Wyszło z tego wiele smutku
I rozpaczy co nie miara —
W końcu „Konwalijka Mała“
Pocieszać Kaję musiała.
Tu napiszę też słów kilka
(Tylko proszę bez „zgorszonek“),
Bo „Wirryt“ i „Konwalijka“,
To jak Pat i Pataszonek.
To komików z filmu para,
Wyciosana — niby dłutem,
Zaś cyganką mocno starą —
Może być, choćby „Maruta“!
To jest istna „wrożycha“,
Taka z cygańskiego rodu,
— Oj! skłamałem! — Tfu, do licha!...
Wszak Ona jest jeszcze młodą.
Jam też cygan, wiersze klecę,
No i z prostej tej przyczyny,
Z taką prośbą do Was lecę,
Wliczcie mnie też do... „Krainy“.

„Ejgo... Ejgo...“

CO NOWEGO?

„Tu — Altek“. Jak przedstawia się sprawa Twego motocykla, czy kupiłeś już nowy? I w ogóle, co u Ciebie nowego?

Posyłam Ci uścisk dłoni i zamieszczam komunikaty:

„Całej „Krainie“ zasyłam miłe pozdrowienia, a specjalne dla „Danki“, „Zuch - dziewczyny“, „Marleny“, „Milutkiej Leni“, „Brzyduli“ oraz „Lucyny“.

„Wisze“ i „Słodkiej Dary“ dziękuję uprzejmie za milutkie pozdrowienia, które odwzajemniam w pełni.

„Jagódko Leśna“, widziałem Panią na wystawie w Pleszewie 17. 8. (zgadłem?).

Może która z wymienionych skrobnie do mnie — odpowiedź murowana!

Wiele uznania dla tych, którzy piszą ładne wiersze. Czołem!“

MOŻE ZNAJDZIEMY PUNKTY STYCZNE!...

„Przeklęta Iwa“. Nie odpowiadam wiele na Twój list z września, tylko zamieszczam Kochana Dziecino, ten serdeczny komunikat:

„Słowianko! Czy możesz do mnie napisać? Napisz! Ja też choruję i jestem w b. przykrych warunkach materialnych. Może znajdziemy punkty styczne.

Piszę i ja wiersze, ale nie takie piękne. Cześć!“

* * *

Zbierałam księżyca promienie,
Tkając piękne i drogie szatki,
Gdy chciałam w nie przyoblec dziatki,
Podarły mi się na szmatki,
Ostały się nagie zziębnięte
Dzieciny moje małe,
Bo te szatki przeklęte,
„Niechodzone“ się porwały!...“

„Przeklęta Iwa“.

BĘDZIE ODZEW!

„Uroczynka“. A ot i znalazło się miejsce jeszcze dla Ciebie, Mała Dziewczynko, tylko trzymaj je mocno, aby Ci go kto nie porwał. Odzew wśród „Krainiaków“, czy będzie? Nie wątpię w to, zanadto jesteś miła, abyś miała nie wywołać echa w naszej „Rodzince“.

Pozdrawiam Cię i przechodzę do komunikatów:

„Niedźwiedziu z puszczy“! Gdybyś był w mateczniku siedział, nigdy by się o tobie Wojski nie dowiedział“. Dowiedziałam się i ja — przyjm więc miłe pozdrowienia! Całą „Krainę“ zasypuję uśmiechami!“



CZTERY WIERSZE PÓJDĄ DO DRUKU!

„Irek“. Przede mną leży dziesięć wierszyków Pana, w tym jeden utwór muzyczny — „Pieśń „Krainiaków“. Cieszy mnie to bardzo, że i Pan spróbował wzlotów poetyckich i to z pewnym efektem, bo cztery utworki Pana odłożyłem do „Teczki“, aby stopniowo z nich skorzystać. Tytuły tych utworków brzmią: „Gdzie jesteś?“, „Jesienny deszcz“, „Minione dni“ i „Grajcie me skrzypki“. W wierszach poczyniłem pewne poprawki, które, niech będą na przyszłość dla Pana wskazówkami, jak tworzyć, aby całość była gładka i harmonijna. Życzę Panu dużo natchnienia do pracy i pozdrawiam!

JESIENNY DESZCZ

Spod kłębów chmur,
Spowity w mgle,
Kropelki dżdżu
Ku ziemi śle —
Jesienny deszcz

Smugami mży,
Zraszając rżyska
I nuci mi
O zimie bliskiej —
Jesienny deszcz.

Obmywa z barwy
Ostatnie róże,
By spłynąć z pluskiem
W ciemne kałuże —
Jesienny deszcz.

A jego swat,
Szumiący wiatr,
Holuje z łąk
Pastuszy śpiew
I strąca w krąg —
Listeczka z drzew.

„Irek“.

DZIĘKI USTERKOM...

„Smutny Sztubak“. „Stwierdziłem, że tak, jak muszę jeść, muszę i pisać“ — słowa te doskonale ilustrują zapał Pana do pracy twórczej. Zapał ten wyczuwam zresztą i w nadesła-

nych wierszach. Wszystkie są bardzo uczuciowe i wzruszające, żałuję tylko, że miejscami posiadają pewne usterki. I dzięki tym usterkom właśnie uznałem za dojrzałe do druku tylko dwa wiersze — „Jesienią na polach" i „Do matki..." Pierwszy wiersz zamieszczam niżej, natomiast drugi odkładam do teczki redakcyjnej, aby po maleńkich poprawkach zamieścić go w numerze, poprzedzającym „Dzień Matki", a więc przypuszczalnie dopiero gdzieś w maju przyszłego roku. Do tej pory zaś godzę się zamieszczać inne utwory Pana, które proszę śmiało na moje ręce przekazywać.

JESIENIĄ NA POLACH...

Już nie szumią, złote łany,
Nad ziemią tą czarną
I nie chylą się już kłosy,
Pod ciężarem ziarna...
Puste stoją wokół pola,
Wiatr nad nimi smutek przędzie...
Smutna dola — tak jest wszędzie,
Boża wola — tak wciąż będzie!...

„Smutny Sztubak".

MOJE WIECZORY

Lubię czasem przeglądać przeszłości rupiecie,
Albumy, zeschłe kwiaty i miłosne listy.
Cóż mi więcej zostało oprócz nich na świecie?
Cóż mam robić w wieczory zadumane, mgliste?

Oglądam często stare fotografie blade,
I wdycham stęchły zapach zżółkłych pamiętników,
A czasem — niespodzianie łza na kartę spada
— Serce się zrywa we mnie w oszalałym krzyku!

Czasami wiersze piszę, by je potem spalić,
W ekstazie jakiejś świętej klękam na kolana,
I nie wiem, czy mam bluźnić, modlić się, czy żalić,
Czy zagrać mam na skrzypcach „Marzenie" Schumanna?...

Marzenie... Czyż mam prawo wymówić to słowo,
Czyż życia baśń nie zgasła, jak jutrzenka żywa?
Ja wiem, że szczęście nigdy nie wraca na nowo,
Że muszę sam pozostać, ja — samotny dziwak.

Na zawsze już zostanie tych wieczorów bladość,
I będzie mi tak smutno, i tak źle ogromnie,
Z pożółkłych kart ożywię dawną, złudną radość,
Zostanę z swą bolesną rupieciarnią wspomnień.

„Erry — Olgin".

EJŻE, EJŻE!!!

„Czarownica z Łysej Góry". Ależ Pani ma werwę! Dalibóg, że dawno już nie miałem podobnie kapryśno - wesołego listu! Podoba mi się ten młodzieńczy rozmach u tej pseudo starej panny... Niechże przyśle ona (ta stara panna) tę przyobiecaną fotografię, abym mógł stwierdzić, jak wygląda ta buńczuczna moja wielbicielka.

Jak będzie Pani stale pisywała podobne, niżej przedrukowane, listy, to gotowym zapłonąć wzajemnym afektem i będzie Pani miała biedę.

Proszę nie marszczyć noska za to, że przedrukowuję wyjątek z tego kapitalnego listu.

„To ja „Czarownica z Łysej Góry". Od lipca 1938 r. należę do Was i proszę sobie przedstawić, że jestem w Wujku zakochana pomimo, że Go nie znam. Dusza czuje i czaruje Chcę zaczarować Wujka na przykład w pająka, żeby omotał pajęczyną całą „Rodzinę Krainiaków". Ale zdaje się, że bez moich czarów są już omotani!...

Teraz muszę się przedstawić Wujkowi:

Jestem starą panną, ale serce mam młode, a humor szampański. Sama jestem na świecie i mieszkam w końcu Polski nad Dźwiną w pow. dziśnieńskim, ziemi Wileńskiej a mianowicie Połowo, ale to nie znaczy, że jestem Połówką. Jestem całością.

Dlaczego Wujek jest taki czasami ostry w ocenianiu wierszy? No, ja nie boję się, bo wierszy nie piszę!

W nr. 32 dn. 7 sierpnia jest wiersz Tadeusza Rawickiego, jak On Go ślicznie napisał — ja wiejska, prosta dziewczyna i to oceniłam.

Wszystkim znajomym, samotnym przepisuję i wysyłam wiersz „Przez życie". Cudne to, Panie Tadzio! Napisz coś jeszcze. Z naszych Kresów chyba nikogo nie ma w „Krainie", a ja dzikus z błotnistych lasów i moczarów nie chcę narzucać się swoją osobą. Jeszcze jeden wiersz p. t. „Moja miłość" przypadł mi do gustu, nawet się go nauczyłam na pamięć. Autorce ślę siarczystego buziaka i Wujkowi też, że do kosza nie wrzucił!

Moich bazgrań na pewno nie wydrukujesz, a jeżeli odpiszesz to też nie zgrzeszysz.

Proszę Tadeusza Rawickiego zawiadomić, że ja Jego za wiersz ten „Przez życie", no już nie wiem!

Wszystkim dziewczynkom serdeczne pozdrowienie, a chłopcom staropanieński dyg i uśmiech.

Żebym wiedziała, że mój list dziś jeszcze po przeczytaniu nie powędruje do kosza, to jeszcze pisałabym, a tak muszę kończyć".

NIE SKORZYSTAM

A. S. Wierszyki p. t. „Czemu?" i „Chciałabym" mają temat banalny, są ponadto usterki w wysławianiu się. Nie skorzystam z nich w mej „Tęczce".

Proszę spróbować skomponować coś głębszego i uważać, aby myśl wiersza była rozwinięta logicznie i jasno.

Pozdrawiam serdecznie!

O ŚWITANIU

Białe, poranne mgiełki snują się po polach,
z fioletowych obłoków wyrwało się słońce,
jak uczucie serdeczne, jasne i gorące —
świat tonie w półcieniach, w dziwnych półkolorach...

Ptak w gałęziach zakwilił, wrona gdzieś zakracze
mocny zapach maciejki bije od rabaty —
obłok sunie wolniutko, pienisty, rogaty —
welon mgielny otulił ściany strzesznej chacie —

Pajęczyna tęczowo mieni się w promieniach
słońca, i wszystko w koło zyskuje na barwie.
W delikatnych listeczkach brzóz całunek kładnie
...Nieuchwytnie, przedziwnie, świt się w dzień zamienia...

Danuta Albrycht.

WIERSZYK BARDZO SŁABY

„Romek". Wierszyk Pana p. t. „Powróćcie dawne sny" bardzo jest jeszcze słaby — rymy w nim częstochowskie. W żaden sposób nie mogłem go zaawansować do druku.

Pozdrawiam Pana mocnym uściskiem dłoni!

CZY PAMIĘTASZ!

Czy pamiętasz ten wieczór przepiękny, majowy?
Czy pamiętasz ten wieczór tak cudny, uroczy,
Gdy księżyc wypłynął na niebo tęczowy,
Gdyś pełen miłości spoglądał w me oczy?

Czy pamiętasz te pola i łąki kwieciste,
Czy pamiętasz bzy dzikie i różyczek kwiaty,
Które tam pachniały, stojąc rozłożyste,
Wonią siejąc miłość, wieńcząc ją w bławaty.

Czy pamiętasz, jak to ramię przy ramieniu
Kroczyliśmy, bicie serc swych czując z bliska?
Gdy w zboża poszumie, w soczystym traw cieniu
Czarem swym olśniła nas miłość przeczysta?

Czy i teraz drżące twe serce zabije,
Gdy wspomnisz ten księżyc, co świecił nad
Te snopy promieni, co muskały szyję, (nami
Wokół sypiąc perły, srebrząc brylantami?

I było tak pięknie — wspomnij choć na chwilę,
Ja wołam do Ciebie, ufna, tu z daleka,
I wiem, że choć wiosna niejedna przeminie —
Ty, nie zapomnisz... Ty, jak ja, czekasz —!

„Wierzba na pustkowiu".

OCZEKUJĘ DALSZYCH WIERSZYKÓW

J. C. — Toruń. Wierszyk Pana p. t. „Dzień Zaduszny" ma dobrze pomyślaną i przeprowadzoną osnowę, ale szwankuje w nim rytm. Do druku go nie zaklasyfikowałem. Proszę przysłać mi więcej utworków, a wierzę, że wybiorę z nich nadające się do zamieszczenia w naszym piśmie.

Pozdrawiam serdecznie i oczekuję następnej przesyłki!

LUDZKIE CIERPIENIE

Na poddaszu mieszka
W małej izdebce
Już rok przeszło —
Ludzkie cierpienie
I odejść nie chce.

Ci ludzie smutek znają
Jeno i łzy — — — — — —

Bo cóż im życie daje?...
Złudne i nieuchwytne sny!...

Praca? — — —
I chleb codzienny? — — —
— — — — nie mam — — — —
Żyją rozpaczą
Ciągle niezmienną.

Tadeusz Multański.

NOWELĘ POPRAWIŁEM DO DRUKU

„Bajkał Sibir". Proszę mi koniecznie podać wyraźny swój pseudonim, bo nie wiem, czy powyższy zgadza się z Pana wyborem. A ponadto dokładny swój adres

Nowelę Pana p. t. „Marzenie" poprawiłem już i przeznaczyłem do druku. Z przyjemnością przyjmę i dalsze do oceny i ewentualnego zamieszczenia.

Pozdrawiam Pana życzliwie!

DOMEK SZCZĘŚCIA

Domek sobie zbudujemy,
Taki mały, biały domek,
A w nim marzyć, śnić będziemy
Przez calutki jasny dzionek.

Domek sobie zbudujemy,
Z dala od miejskiego gwaru,
I w nim szczęście swe znajdziemy,
Pełne słońca, pełne czaru.

Domek sobie zbudujemy
Na miłości fundamentach,
Tak jak w bajce żyć będziemy
W swoim gniazdku, jak ptaszęta.

Domek sobie zbudujemy,
Pełen ciszy, kwiatów, słońca,
Nowe życie w nim zaczniemy,
Życie szczęściem jaśniejące.

Helena Thielówna.

PROSZĘ SIĘ NIE ZNIECHĘCAĆ!

„Janek ze Śląska". W wierszykach Pana jest już iskra, ale trzeba jeszcze dobrze fałdów przysiedzieć, zanim dojrzeją prace Pana ostatecznie do druku.

Z nadesłanych, nie wybrałem żadnego, niemniej radzę się tym nie zniechęcać!

Posyłam Panu uścisk dłoni.

TRZEBA

Trzeba iść, choć droga hen — daleko mknąca,
Pełna zakrętów, i spadzistych, wzgórz — —
I piąć się wzwyż! tam gdzieś do słońca!
— — Do gwiazd złocistych i różanych zórz.

Trzeba uśmiechnąć się, choć nie ma komu,
Choć sercem targa głuchy żal...
Trzeba łzy otrzeć pokryjomu,
I — samej odejść — w dal — — —

„Burza".

móc; wynajmowała więc furę i wysyłała matkę z dzieckiem do odległego o parę mil miasta, do doktora.

Lub inna sprawa: gdy jakieś maleństwo dopiero uczące się chodzić, miało nieszczęście usiąść sobie w cebrzyku z wysypaną co tylko gorącą strawą dla bydła... Basia znów miała zajęcie na parę dni, bo niezaradnej wiejskiej matce nie można było powierzyć smarowania i bandażowania sparzonego biedactwa, przynajmniej w pierwszych dniach. Zresztą — mój Boże — co tam czekało robót na te jedne kobiece ręce! — Dzieci coś pięcioro — robota koło bydła i roboty w polu zabierały kobiecie czas od świtu do nocy. Więc nie zostawało dla dzieci nic... Chodziły więc umorusane, opuszczone, zmuszone same sobie radzić od najmłodszych latek.

Luta po pierwszej bytności w takiej chacie, wyszła z niej z oczyma pełnymi łez. Chwilę szły w milczeniu. A po tym Luta rzekła wzruszonym głosem:

— O dziecku wiejskim ma się przeważnie ujemne mniemanie, a tymczasem dziecko z takiej oto chaty zasługuje na prawdziwy szacunek — nie ma to biedactwo nic z tego, o czym teraz tyle krzyczą i piszą, że się dziecku należy... Nikt do niego przez cały, długi dzień nie mówi, nie poucza — na „przednówku" — jak tu mówią — cierpi głód, w zimie zimno, a jednak rosną z tego ludzie nieraz o inteligencji aż za dużej, jak na takie warunki.

— Masz słuszność — odrzekła Basia. — Na przykład u mnie w szkole uczą się te dzieci nawet wcale dobrze, a przecież nikt im poza moją nauką nie dopomaga, bo ojciec, czy matka, choćby nawet mogli, nie mają na to czasu...

— I jeszcze nie to, że nie dopomaga — mówiła Basia dalej po chwilce przerwy — ale jak tylko taki mały berbeć z pierwszej klasy przyjdzie do domu, po paru najjaśniejszych dla niego godzinach z całego dnia, musi się zaraz jak dorosły człowiek, wziąć się do roboty; czeka bowiem na niego mycie garnków, zamiatanie izby, a po tym paszenie bydła. O nauce nie ma już — to całkiem jeszcze małe dziecko — kiedy pomyśleć...

— A jednak są tacy ludzie, co dziecko wiejskie, to dziecko pełne hartu, potrafią nazwać kretynem... — odpowiedziała Luta z nutą oburzenia w głosie.

Wieczór w szkole po takim dniu, jak powyższy, schodził już cały w przygnębieniu. Każdą weselszą myśl Basi i Luty, truła dopiero co widziana nędza...

Ale były też dni, w których nie było spraw przykrych, czy smutnych w szkole; było natomiast trochę śmiechu i żartów, gdy wieczorem po odrobieniu szkolnej pracy, musiała Basia zasiąść nad białą kartą papieru i zabawić się w poetkę. — We wsi miało się odbyć za parę dni wesele, więc Basię uproszono o napisanie wiersza, który miała przed ślubem wygłosić przed „młodą parą" — mała siostra panny młodej, a uczennica Basi.

— No i co ja im napiszę? — pytała ze śmiechem Basia, patrząc na Lutę siedzącą z drugiej strony stołu.

— Przyrzekłaś, to teraz proś Boga o natchnienie i pisz — radziła z udaną powagą Luta.

— Widzisz, im nawet przez myśl nie przeszło, żebym ja tego nie potrafiła, więc cóż miałam robić? No, jakoś to będzie! W Imię Ojca i Syna... zaczynam!... — żartowała Basia maczając pióro w kałamarzu.



Marszałek Śmigły Rydz i min. Beck w towarzystwie rektora Uniwersytetu J. P. w Warszawie, w chwilę po nadaniu obu dostojnikom państwowym doktoratów honoris causa

Czasem znów spędzały wieczory siedząc przy otwartym oknie i nie zapalając światła w pokoju, bo Luta twierdziła, że najlepiej rozmawia się o mroku...

I rzeczywiście wnet temat rodził się z chmurki jakoś inaczej, niż zwykle, oświeconej światłem księżyca, to znów z tęsknej melodii góralskiej śpiewki, która leciała do otwartego okna z drogi niedaleko biegnącej, lub nawet z zimnego wiewu nietoperzowych skrzydeł...

— Patrz Basiu, jak się nam to teraz dobrze rozmawia... A w dzieciństwie tak się zawsze nieszczęśliwie składało, że na końcu każdej rozmowy był gniew — pamiętasz?

— Pamiętam — zawsze byłyśmy wojowniczo usposobione...

— — — — — — —

— Dobrze mi tu — myślała Luta co rano na nowo. Cudna tegoroczna wiosna, kąpała świat w słońcu od wielu już dni...

Z początkiem maja zaczęły się kłosić zboża, a kwiaty i trawy na łąkach stały gotowe do pierwszych sianokosów.

Ludzie chodzili uśmiechnięci... weseli...

Niespokojny, huczący głośno Dunajec, spokorniał, zmalał — chwaląc się wszystkimi kamieniami, skrytymi dotąd zazdrośnie w głębi... błyskając srebrem ryb...

Nocą zanosiły się od śpiewu słowiki schowane w nadbrzeżnych łozach.

— — — — — — —

— Wychodzisz, Luto?

Basia obudziła się w chwili, gdy Luta brała za klamkę, chcąc wyjść.

— Tak. Ale ty śpij jeszcze; dopiero szósta godzina.

Wyszła.

Dzień zapowiadał się taki sam, jak wszystkie ostatnie: złoty od słońca, wonny od kwiatów i świeżej zieleni...

Luta szła wolno kamienistą, nierówną drogą nad brzegiem Dunajca.

O, jeszcze ten zakręt — po tym kilkadziesiąt kroków wąziuchną ścieżką wśród ukwieconej łąki i zobaczy dom, w którym mieszkała dwa miesiące z Andrzejem...

— Dziwne jednak, dlaczego oni wówczas nie byli ani raz w tamtej stronie, gdzie stoi szkoła? Chodzili najczęściej w górę ku kościółkowi i dalej jeszcze, lub przewozili się łódką za Dunajec.

Nadlatują chmurą wspomnienia:

Luta widzi siebie lecącą wąskim, zielonym pasem miedzy. Dwie złotawe już ściany zboża uciekają w tył... krwawią się maki w oczach... furkoczą za nią, porwane pędem wiatru, fałdy wiotkiej sukienki...

Ucieka nie dlatego, że Andrzej chciał ją pocałować... tylko dlatego, żeby całował dłużej i mocniej, jak dogoni...

Dogonił.

Porwał na ręce i podrzuciwszy parę razy w górę, jak piórko — spadł na usta drapieżne.

O, długi, strasznie długi musiał być ten pocałunek, bo gdy nareszcie postawił ją na ziemi, chwiała się na nogach...

— To dlatego... że uciekałam — tłumaczyła mu prędko.

Uśmiechnął się jakoś dziwnie... więc skryła twarz na ukochanej piersi...

Pamięta: uczuła pieszczotę jego ręki na swoich włosach, a w ucho wpadł szept:

— Moja ptaszyna maleńka...

Podniosła w górę szczęśliwe oczy.

— Maleńka — potwierdziła skinieniem główki — bo jak położę głowę tu o tak — przytuliła się znów do niego — to prawie usłyszę twoje serce...

Naraz drgnęła. Zbudził ją z marzeń czyjś głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Jakaś kobiecina schyliła się do jej ręki.

— Na wieki. A to wy, Wojciechowa? Jak się macie? Dawno tu nie byłam, prawda?

— O, z pore lat będzie. Ale pani se ciegiem wyglądo, jak panienecka; zawse tako cieniutko... — dziwiła się kobieta.

— Tu teraz mieszkanie? — pytała Luta wskazując na pamiętny dla niej dom.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

MUNIA TOLINA 1)

Dusze na manowcach

POWIEŚĆ

BRAT

Dni przechodziły spokojnie, podobne do siebie — z rana szpital, wieczorem praca w laboratorium, czasami wyjazd do Ustronia — rozmowy z Karolem, najpierwszym mistrzem, potem powrót do Francji i znowu praca, praca....

Jednostajność nie nużyła, tak się do niej przywykło, iż zdawało się, że inaczej być nie może.

Aż przyszedł dzień inny, niepodobny do ubiegłych, zmienił i przeinaczył ustalony porządek, i trzeba było porzucić wszystko i wyjechać.

Tego dnia, zawsze opanowany, zrównoważony Andrzej czuł się od samego rana zdenerwowany, niezadowolony bez wyraźnej przyczyny. Już w szpitalu na pytania profesora Plenier'a odpowiadał tak bezładnie i dziwnie bez sensu, że profesor patrzył przerażony na swego ulubieńca i wyraził przypuszczenie, że Andrzej jest chory, „Nic mi nie jest" odburknął Andrzej i odszedł mocno rozdrażniony i zły, co nigdy nie zdarzało się przedtem.

Profesora Plenier'a zastanowiło to i zaniepokoiło bardzo, przecież jego ulubiony Andrzej, dawniej najlepszy uczeń, a teraz niezastąpiony pomocnik, był zawsze uosobieniem pogody i dobrego humoru więc skąd to nagłe zdenerwowanie?

Wieczorem przy pracy w laboratorium Andrzej był tak roztargniony, że mylił się ciągle w obliczeniach, zapominał najprostszych formuł, rozbił parę probówek z potrzebnym płynem; wreszcie zrezygnowany, machnął ręką na wszystko i postanowił pójść do domu wypocząć .

Na schodach podano mu depeszę — Karol umiera! Karol umiera! Ukochany brat Karol umiera? Tak, przecież wyraźnie napisano: Karol umiera! Więc dlatego był tak zdenerwowany, tak mu się wszystko z rąk waliło. Było to podświadome przeczucie, nie mógł przecież na podstawie tych objawów wywnioskować, że czyha nań nieszczęście. Trzeba prędzej tam jechać, trzeba ratować — Andrzej nie dopuści, nie pozwoli, żeby Karol umarł.

Andrzej miał usposobienie pogodne, pochłonięty zawsze pracą, jasno patrzał w przyszłość i nie wróżył sobie nigdy żadnych smutków i niepowodzeń.

Życie, kierowane miłującą ręką Karola, układało się pracowicie i ciekawie, tak jak starszy brat postanowił i uplanował. Andrzej poddawał się tym postanowieniom z zupełnym spokojem i zadowoleniem: wiedział, że wszystko, co Karol nakaże i ułoży, będzie mądre i celowe — ludzie mogą mylić się i popełniać błędy, ale Karol, jego brat Karol, zawsze wiedział jak trzeba postąpić.

Karol był tak dużo starszy od Andrzeja, że mógłby mu być ojcem, i był tak troskliwy i oddany jak najlepszy z ojców.

Już jako mały chłopiec, Andrzej powziął przekonanie, że brat jest nieomylny w swoich działaniach i przedsięwzięciach. Nigdy potem nic nie zachwiało jego wiary w tę nieomylność, w rzutkość myśli Karola.

Andrzej miał tylko cztery lata, kiedy zmarli rodzice, zostali wtedy we dwóch z Karolem, nie mieli więcej rodzeństwa, ani krewnych. I dorosły już wówczas Karol zaopiekował się czule małym braciszkiem. Andrzej dopóki był dzieckiem, uwielbiał starszego brata za to, że ten jest tak dobry, tak kochający dlań, później kiedy dorastał, zaczął go też uwielbiać jako człowieka czynu, jako uczonego.

Lecz wspomnienie dziecinnych lat, kiedy rósł w cieple tkliwej miłości Karola, nigdy nie zatarło się w jego duszy. Wobec Karola zawsze czuł się małym chłopcem, i Karol istotnie był pod każdym względem tak odmienny i przewyższający innych ludzi, że trudno było mu w czymkolwiek bądź dorównać.

Andrzej zawsze starał się iść tą drogą, jaką wskazywał brat i nie zawiódł się nigdy.

Miłość ich braterska była najpiękniejszym przejawem uczucia ludzkiego i jako coś rzadko spotykanego wzbudzała podziw i szacunek.

Nigdy najmniejsze nieporozumienie nie zachwiało tą miłością.

Karol zaznał niejednego niepowodzenia, niejedną nędzę upokorzenia ze strony ludzi, ale Andrzeja starał się wychować tak, aby ten nie zatracił ufności i wiary w duszę człowieka.

Nie, nie pozwoli Karolowi umrzeć, jakże będzie żyć bez niego? Cały wysiłek woli, całe pragnienie duszy skupi w jednym wołaniu — Karolu, żyj! Przecież przekonał się niejednokrotnie, że chorzy, którym sławy medycyny przepowiadali niechybną śmierć, wyzdrawiali raptem, zupełnie nieoczekiwanie; możliwe, że istniała jakaś siła w miłości i w modlitwach tych, którzy ich kochali, i dlatego wbrew opinii najznakomitszych lekarzy, powracali do zdrowia i życia. I on więc nie dopuści do tego, aby brat umarł, wydrze go śmierci, zadrwi z nauki.

Duchowy jego związek z Karolem jest zbyt silny, ażeby coś mogło rozerwać łączącą ich nić; jeżeli brat umrze, nie przeżyje tego.

Polska... Od najbliższego lotniska do Ustronia tylko dwa kilometry, zbyt prędko przebywa samochód tę drogę, zbyt prędko — już teraz nie można rozmyślać o możliwości lub niemożliwości śmierci ukochanego człowieka — teraz trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

— Żyje — czeka...

Andrzej jakby z daleka słuchał głosów otaczających go osób, wszystko wydawało mu się nieprawdopodobne, nierealne, jakby w jakimś męczącym śnie. —

Ktoś mówi, że Karol lada chwila umrze, a tylko czeka na jego przyjazd, ktoś wyraża zdziwienie, że takie chore serce jeszcze bije, że silna wola nie pozwala mu jeszcze zamilknąć; a może to i śmierć oczekuje na przyjazd — niech jeszcze ostatni raz złączy ich braterski uścisk!

Nie wierzył w to, że Karol może umrzeć, nie mógł się pogodzić z tym, ale teraz, kiedy wszedł do jego pokoju i umierający zwrócił nań zamglone oczy, odczuł z całą mocą nieodwołalność tego wyroku.

Świadomość tego ubezwładniła jego wolę, zgasiła nadzieję, nie, nie ma sił walczyć z tą potęgą, miłość jego nic tu nie pomoże.

Ociężałym krokiem podszedł do łóżka, ukląkł i objął brata.

— Karolu, Karolu to ja!

— Jesteś, to dobrze, to dobrze, mój drogi, mój chłopcze; Karol wymawiał słowa z trudem i tak cicho, że Andrzej musiał przyłożyć ucho do jego ust, aby słyszeć ten szept — czekałem na ciebie, chciałem ci powiedzieć, nie smuć się, nie rozpaczaj, że umrę, wszystko tak musisz prowadzić, jak było przy mnie, o wszystkim musisz pamiętać, we wszystko wglądać sam, nie miej czasu na żałobne ubolewania, nasza praca jest ważniejsza, pamiętaj... chciałem



Do Paryża przybył z Londynu słynny aktor filmowy Gary Cooper z żoną (po lewej) znanej w świecie filmowym pod nazwiskiem Sandra Shaw

cię jeszcze prosić, chciałem... ale nie można było już zrozumieć, co chciał jeszcze powiedzieć, bo ostatnie słowa wyszeptał tak niewyraźnie, ledwo-że tylko ustami poruszył.

Przytulony do brata, Andrzej, patrzył w niemej i bezsilnej rozpaczy na jego konanie: oto ten najdroższy, najukochańszy odchodzi, a on musi na to patrzeć tak spokojnie, musi z pokorą poddać się temu.

Jeszcze jedno westchnienie, jeszcze jedno spojrzenie, gasnące i smutne, słaby uścisk dłoni...

Długo klęczał przy zmarłym Andrzej, wpatrując się w twarz największego swego przyjaciela i opiekuna.

Teraz odczytuje cały ciężar samotności wśród ludzi, teraz nie ma nikogo z kim by mógł mówić tak otwarcie, tak szczerze o wszystkim; wprawdzie nie brak mu przyjaciół oddanych, życzliwych, bezinteresownych, ale nikt przecież nie zastąpi Karola. Karol go wychował, wypielęgnował jego duszę i ciało, wykształcił jego umysł, kierował jego życiem, myślał zawsze o nim; dla innych był tylko Andrzejem Kellerem, młodym obiecującym lekarzem, bratem sławnego Karola Kellera, a dla samego Karola był przecież także po prostu młodszym bratem Andrzejkiem, Jędrkiem, kochanym chłopcem, a jednocześnie powiernikiem wszystkich projektów i zamysłów, zaufanym przyjacielem, przed którym nie miało się tajemnic. Byli braćmi w całym tego słowa znaczeniu, braćmi nie tylko z krwi, lecz i z ducha.

Nie mogliby zastosować do siebie wiersza: „Jesteśmy dalecy głębią swych jaźni, brak nam wypowiedzeń, szczerości i słów, samotni czujemy naszą obecność wyraźnie, gdy razem, łudzimy się znów". Nie, nie brak im było nigdy wypowiedzeń i słów, czy samotni byli, czy razem, zawsze odczuwali nierozerwalną łączność ze sobą.

Jakże teraz przeżyje sam? Czyż można być więcej samotnym i opuszczonym?

Zmierzch już zapadł; do pokoju wchodzili i wychodzili różni ludzie. Ktoś delikatnie dotknął ramienia Andrzeja i powiedział, że już trzeba wstać i odejść, bo zmarłego teraz ubierze się...

— Ach, tak, prawda, dobrze, róbcie co należy.

Kiedy zmarły leżał już ubrany na katafalku, Andrzej znowu usiadł obok i patrzył, patrzył, nie odrywając wzroku, jakby chciał wchłonąć w siebie obraz tej twarzy, zapamiętać na zawsze tak, aby nigdy wspomnienie nie zatarło się w duszy.

Zdawało mu się, że przesiedzi tak całą noc, że sen nigdy go nie zmoży, bo czyż będzie spokojnie spać tu, przy trumnie Karola!

Lecz zasnął i spał do samego rana. Śnił mu się Karol, że żyje, że zdrowy — Karol kochany — chodzi taki wysoki, zgrabny, potrząsa piękną białą czupryną, uśmiecha się z dobrocią i trochę z ironią i mówi: „robisz się zupełnie do mnie podobny, Jędrku, brakuje tylko, aby ci włosy posiwiały".

A Andrzej tak cieszy się i myśli: „A napisali, że Karol umiera, co za nonsens".

Tak często śni się tym, którzy zostają.

Od rana przysyłano depesze kondolencyjne z całego kraju, z całego świata, przyjeżdżały różne delegacje: lekarze, robotnicy, przedstawiciele wszystkich warstw i



Dwie urocze Japonki, członkinie baletu Takarazuka, występującego w Berlinie.

zawodów, wygłaszano mowy, ubolewano, współczuwano, zresztą szczerze, bo zmarły był naprawdę człowiekiem wyjątkowym i uwielbianym przez wszystkich.

W tym powszechnym żalu utonął i jakby zmalał smutek Andrzeja; teraz w nim widziano dalszego krzewiciela idei Karola Kellera, więc nie ma już czasu na rozpacz osobistą, jego ból zlewa się z bólem ogółu i przez to nabiera innego znaczenia.

A przecież i Karol powiedział, nakazał w ostatniej chwili, pamiętać o wszystkim tak, jak on pamiętał, nie zaniedbywać, nie zapominać, tak jak on; więc i jemu nie wolno — rozpacz swoją, swoje poczucie samotności i opuszczenia powinien schować głęboko w duszy i oddać siebie ludziom, tak jak Karol.

Oto już skończyło się wszystko, skończyło się przysyłanie kondolencyj, wygłaszanie mów, przyjazdy przedstawicieli różnych państw — Karol już spoczywa w ziemi. Niemało napracował się, przecierpiał, zanim osiągnął spokój. Teraz kolej na Andrzeja wziąć się do pracy. Tak, skończyło się już wszystko.

Jeszcze gazety, jeszcze tygodniki na całym świecie są przepełnione artykułami, wspomnieniami, o wybitnym człowieku stulecia, ale prędko i to urwie się; nowe jakieś wypadki i zdarzenia odsuną to na dalszy plan, ludzie zapomną o Karolu Kellerze, będzie tylko już figurować w encyklopediach i podręcznikach medycyny, jako sławny lekarz, jako założyciel Ustronia, jako wynalazca nowych sposobów leczenia etc. etc. Tylko ci, którzy mieli możność poznać go bliżej, odczuć miękkość i dobroć jego duszy, nie zapomną o nim nigdy.

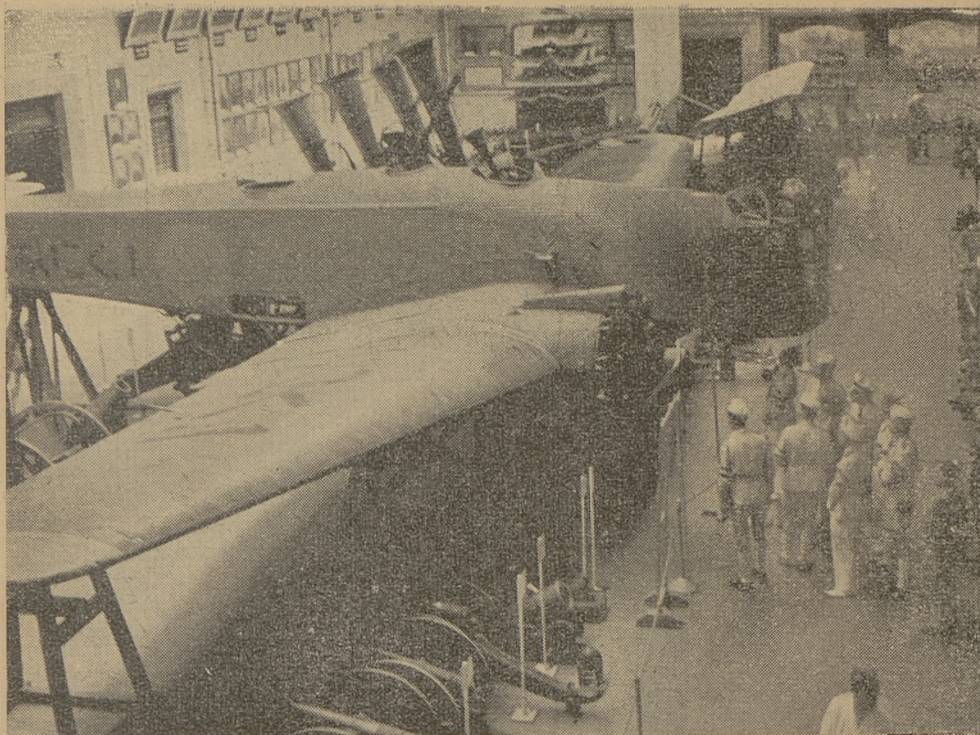
Praca gorliwa, nieprzerwana, nie pozwalała zbyt zapamiętywać się Andrzejowi w żalu za zmarłym, ale w rzadkich i niedługich chwilach odpoczynku, kiedy powracał samotny do pustego, wielkiego domu, z jakąż wyrazistą mocą ogarniał go niewypowiedziany, nieobjęty żal!

Błądził po licznych, pięknie umeblowanych pokojach, przesiadywał w gabinecie Karola, wpatrując się z miłością i męką w portret ukochanego; zdawało mu się niekiedy, że wyraźnie odczuwa obecność zmarłego, bo czyż możliwe, iż ten, co go tak kochał, tak myślał o nim, zapomniał po śmierci o swoim umiłowaniu, czyż tak wielki duch mógł zaginąć w nicości, dlatego tylko, że ciało uległo rozkładowi?

Czasami Andrzej przeglądał notatki i papiery brata i znowu wtedy przekonywał się, jak Karol zawsze pamiętał o nim: z jakimż smutkiem, z jakimż wzruszeniem, odnajdywał teraz w jego biurku swoje listy z różnych okresów, listy z Paryża, listy młodzieńcze ze szkoły i maleńkie, śmieszne, dziecinne liściki — skraweczki papieru, na których niezdarną, małą rączką wypisywał niezgrabne literki, i które pisał, kiedy jeszcze nie chodził do szkoły, kiedy jeszcze byli biedni, a Karol wychodząc z domu do pracy, nakazywał być grzecznym, bawić się cichutko, a swoje wrażenia, myśli i pragnienia, maleńkie, dziecięce pragnienia, wypisywać na takich oto skrawkach papieru, w formie liścików do starszego brata, wszystkie były przechowane, ułożone i posegregowane akuratnie.

Taki sam porządek panował w tych papierach i dokumentach, które dotyczyły majątku, szpitali, fabryk i personelu służbowego; notatki medyczne, artykuły, spostrzeżenia, wyliczenia, opisy chorób, przypuszczenia i wątpliwości, co do niektórych metod leczenia i wskazywanie nowych, słowem wszystko, co mogło w jakikolwiek bądź sposób użyć w pracy Andrzejowi, było ułożone i ponumerowane tak, aby można było odnaleźć wszystko łatwo i od razu.

Tak więc, ten człowiek pomimo stałego nawału pracy, widocznie znajdował jednak



Wycieczka młodzieży niemieckiej podczas swe go pobytu w Japonii zwiedziła w Tokio muzeum wojskowe

czas do zajmowania się tym i widocznie pamiętał i myślał o tym zawsze, że ma chore serce, że może umrzeć nagle i że na barki Andrzeja spadnie wówczas cały ciężar odpowiedzialności za prowadzenie szpitali.

Najwięcej Andrzej lubił odpoczywać w narożnym pokoju, którego okna wychodziły na aleję i skąd nie było widać żadnego budynku szpitalnego.

Pokój ten był ulubionym także i przez Karola, nazywał go „pokojem zapomnienia", pełen był zawsze kwiatów, tam zgromadzono najpiękniejsze rzeźby, obrazy, stał fortepian, a nic nie było takiego, coby przypominało o chorobach, o męce, o cierpieniach ludzkich. Karol mawiał, że musi codzień, chociaż na chwilę pobyć w tym pokoju, ażeby potem po takiej „chwili wytchnienia", „chwili jasności", zabrać się z tym większą energią, z tym większym uporem do swojej ciężkiej i niekończącej się pracy.

Kiedy Andrzej czasami przyjeżdżał z Paryża do Ustronia, zobaczyć się z Karolem, porozmawiać, zwierzyć mu się z najtajniejszych myśli i nawzajem wysłuchać jego zwierzeń, przeważnie przesiadywali w tym właśnie pokoju, w rozmowie poufnej a przyjacielskiej — były to zwierzenia, projekty, ciekawe i ważne tylko dla nich.

I dlatego Andrzej tak lubił tu przebywać o zmierzchu, w ciszy i samotności, czuł się wówczas tak opuszczony, tak tęsknił za Karolem, tak pragnął odczuć na sobie jego poważne, miłujące spojrzenie, że aż zdawało się mu, iż tym pragnieniem przywoła zmarłego, że tęsknota jego nie może przejść bez śladu, taki smutek go ogarniał, że wydawało mu się dziwnym powracać znowu do ludzi, zajmować się ich sprawami, ale jednocześnie w tym smutku, w tej tęsknocie odnajdywał jakby pewne ukojenie, następowała jakby reakcja w duszy i po godzinach samotnych rozmyślań spływał nań spokój; może w narożnym pokoju błąkały się jeszcze myśli Karola, może powracał jego silny duch i stąd może i Andrzej czerpał siłę do dalszej pracy?

HELENA

Bezszelestnie sunęły długimi jasnymi korytarzami białe postacie sióstr i pielęgniarek.

Na tym piętrze było parę sal dla ciężej chorych i kilka gabinetów lekarzy, było tu tak cicho, trudno było uwierzyć, iż tam za drzwiami są ludzie, jednakże w tej ciszy nie wyczuwało się nic z wrogiego milczenia śmierci, a na odwrót coś uzdrawiającego, przyjaznego, rozpływało się w powietrzu.

Andrzej szedł głęboko zamyślony o chorym, który umarł z rana; człowiek ten dwa lata przeleżał w Ustroniu, chory na raka, operowano go trzy razy, stosowano wszelkie istniejące sposoby leczenia i wszystkie zawiodły, a człowiek ten tak chciał żyć; nawet próby leczenia radem zawiodły, wytworzyły się jakieś nowe komplikacje choroby pod wpływem tych cudownych promieni, a człowiek tak chciał żyć... Andrzej wszedł do gabinetu i nie zauważył od razu postaci, która na jego wejście podniosła się z fotelu.

— Czy doktor Andrzej Keller?

Drgnął jakby zbudzony ze snu: stała przed nim wysoka, zgrabna kobieta w żałobie — twarz tak delikatna, niemal że przezroczysta, włosy jasne puszyste; uderzyło weń spojrzenie oczu, pięknych, ale tak ostrych, tak przenikliwych w wyrazie, że aż odczuł niepokój.

Czego ta kobieta może chcieć ode mnie? Zapewne nie jest chora — zimne oczy lśnią zdrowiem, prześliczna cera jest tak czysta, naturalna...

I w tej chwili uświadomił sobie z jakąś tajemną pewnością, że ta kobieta, ta oryginalna piękność, ma jakiś związek z Karolem. Tak, z pewnością tak.

Myśl ta napełniła go smutkiem, goryczą — przecież Karol nie miał przed nim tajemnic, czyż by istniało coś, co skrył? Czyż ta kobieta piękna, ale o tak przykrym wyrazie oczu mogła mieć coś wspólnego z wnikliwym, subtelnym Karolem?

— Pan jest bardzo podobny do brata.

Więc jednak nie mylił się! A dlaczego jest w żałobie, czyż by i to miało jakiś związek ze śmiercią Karola?

— Pani znała mego brata?

— Tak, jestem Helena R., czy Karol nic nie mówił panu o mnie?

— Nie, nic mi nie mówił, nic. — I znowu Andrzej uprzytomnił sobie z żalem, że istniało coś, co zmarły zataił przed nim, przecież mówił mu zawsze o wszystkim, mówił nawet o kobietach, które kochał. Dlaczegoż o tej nic nie powiedział, czy może nie zdążył, może śmierć mu przeszkodziła?

— Byłam dwa lata kochanką Karola, miałam z nim syna.

Ma syna jego brat, jego Karol, a on nic nie wiedział, nie, to chyba nieprawda, musi sprawdzić. Musi stwierdzić, bo stało się coś niewyjaśnionego.

— Chciałbym wiedzieć wszystko, jak pani poznała brata, jak powstał ten stosunek — poprosił zgnębiony Andrzej.

— Dobrze, jeżeli pan mi nie wierzy.

I głosem cichym, łagodnym, dziwnie nielicującym z twardym wyrazem oczu, zaczęła opowiadać Helena R. o poznaniu się z Karolem, o ich rozmowach, projektach.

Między nimi powstała od razu miłość zachłanna, ogarniająca zmysły i uczucia, wszechwładnie, bezwzględnie. Karol był jej pierwszą miłością, nigdy nie kochała przedtem, i Karola, jak pewnie Andrzej wie, nie zajęła dotąd tak bardzo żadna kobieta, dopiero ona, Helena, zawładnęła całkowicie jego sercem.

Mieli zamiar tę miłość uświęcić, zawierając związek małżeński — nic tak długo nie pisali Andrzejowi, bo chcieli mu zrobić niespodziankę, przyjeżdżając do niego już po ślubie. Czy mogli przewidzieć, że tak się nie stanie?

Tak, tak, Karol opowiadał jej o wszystkim, opowiadał całe ich życie i to, jak zostali w nędzy po śmierci rodziców, jak Karol pracował, jak wychowywał, jak kochał swego braciszka Andrzeja i to, jak potem otrzymali olbrzymi spadek po krewnych matki, jak uszczęśliwiony Karol wziął się do budowy szpitali, jak Andrzej wyjechał na studia do Francji itd. A potem mówiła znowu o tych radosnych chwilach, kiedy poznała Karola, kiedy uświadomiła sobie jego miłość, kiedy dowiedziała się, że będzie miała dziecko, a potem jak przyszedł na świat syn, jak Karol cieszył się, jak mieli jechać do Andrzeja — i nagle — ta śmierć nieoczekiwana, dotąd nie może przyjść do siebie, dotąd nie może darować sobie, że nie była przy tym, ale akurat miała jakieś ważne sprawy w Warszawie, musiała wyjechać...

Andrzej słuchał wzruszony, prosił, aby jeszcze mówiła, tak lubi rozmawiać o Karolu, nie przypuszczał, że jest ktoś oprócz niego, kto tak dobrze wie różne zdarzenia z ich życia.

I znowu Helena zaczęła mówić o Karolu, przytaczać różne jego powiedzenia, przypomnieć uśmiech rozczulenia jaki pojawił się na jego ustach, kiedy opowiadał o dziecinnych latach Andrzeja, albo kiedy pokazywał jego fotografie z różnych okresów, listy; synka także nazywał Andrzejem i mówił nawet, że młodszy brat był w dzieciństwie zupełnie podobny do ich dziecka (C. d. n.)

RAJ KOBIET

Podarki św. Mikołaja

6 grudzień, to dzień tęsknie oczekiwany przez wszystkie grzeczne dzieci, i nie tylko dzieci Przecież w ten dzień schodzi na ziemię i odwiedza wszystkie miłe domy staruszek, o jasnych, uśmiechniętych oczach pod ogromnymi brwiami, co wyglądają jak mikroskopijne krzaczki choinki, przyprószone gęstymi płatkami śniegu, — i wnosi w nie błogosławieństwo dobroci, niebiańskiej życzliwości i wesela.



6 grudnia schodzi na ziemię św. Mikołaj, obdarza prezentami grzeczne dzieci, a życzenia starszych notuje sobie skrzętnie w pamięci, aby je zrealizować na Gwiazdkę.

Każdego z domowników ogarnia opiekuńczym, serdecznym wzrokiem, każdego wysłucha, pocieszy i obdarzy. A nierzadko lekkim dotknięciem chłodnej, o sugestywnej sile dłoni, uzdrawia chore dzieci, co to złapały w dnie jesiennej słoty uporczywy katar, ból gardła i kaszel. Bo tak się zwykle składa, że wraz z jego zejściem na ziemię spadają ogromne płaty śniegu, a lekki mrozik ścina je w miękki, nietopliwy kobierzec. I od razu rozbłyskują zdrowiem przymglone dotąd podniesioną temperaturą oczy słabowitych dzieci i równie, jak one, słabowitych starców. Powiew świeżego, zdrowego powietrza, ustalonej nagle aury płynie z chłodnej dłoni św. Mikołaja i uzdrawia. Reszty dokonują prezenty i obietnice nowych, które prześle dobry św. Mikołaj przez swych anielskich gońców Gwiazdkę.



Mamusia chciałaby otrzymać Gwiazdkowy serwis do kawy.

Wszak wiedzą wszyscy, że św. Mikołaj jest już stary, stareńki i z trudem dźwiga ogromny wór z prezentami w swej gigantycznej, jednodniowej ziemskiej wędrówce. A Polska jest jest duża, a domów w niej jest krocie, więc też ogromną ma pracę w ten radosny dla wszystkich dzień. Musi też stanąć przed każdym domem ponurym, niechętnym sobie i zamkniętym, aby za tych, co go nie kochają zmówić choć krótki do Boga paciorek.

Bo taki już jest św. staruszek Mikołaj, że cnotliwy, bogobojny ludziom każe za prezenty odmawiać pacierze, a za złych i zatwardziałych modli się sam!

Mając tyle zajęcia, nie może św. Staruszek zaspokoić od razu wszystkich ludzi, przeto doraźnie obdarza tylko swych najmilszych przyjaciół, jakimi od początku były mu dzieci, a starszych pyta tylko o życzenia, skrzętnie notuje je sobie w pamięci i realizuje w wigilię Bożego Narodzenia. Dlatego to oprócz dzieci cieszą się na jego dzień i starsi!

Gdy mrok na świecie legnie i zaskowyczą aby wnet ucichnąć, poznawszy kto idzie, czworonożni stróże — wszystkie małe serduszka zabijają mocno, a oczy maleńkich przyjaciół niebiańskiego staruszka rozwierają się szeroko z nadmiaru uczuć, w których przebija radość oczekiwania i odrobina lęku.

I nagle przed drzwiami odzywa się lekki,







Duża Wanda marzy o komplecie narciarskim, a Tadzio studen: życzy sobie drewnianego pieska na kółkach.

radosny, a jednak przeszywający dźwięk dzwonka. Cisza w pokoju staje się aż przejmująca; wręcz obco brzmi w niej mamusine „proszę". Szeroko otwierają się drzwi i staje w nich ogromny, siwy, a jakże jasny — św. Mikołaj.

Serduszka zbitej w kąciku gromadki dzieci, biją na alarm, a pobladłe nagle z wrażenia usteczka szepczą na gwałt słowa paciorka, które dziwnie plączą się i pierzchają z pamięci, jakby miały skrzydełka i umiały fruwać. Od razu przypominają się wszystkie małe grzeszki, wszystkie drobne przewinienia, które smuciły i gniewały przecież mamę i które miała wskazać św. Mikołajowi.

O! Ma on w ręce tę sławną rózgę, o której mówiła tyle razy mateczka i która teraz wymierzy urwisom sprawiedliwą karę!

Nie! To jednak nie rózga, a jakaś ogromna, zakrzywiona laska — tatuś mówił, że taka laska nazywa się pastorałem!...

Dzieci odczuwają ulgę. A oto groźny Mikołaj uśmiecha się już szeroko i mówi coś do dzieci, co wcale nie brzmi znowu tak groźnie. Teraz sięga do worka na plecach i wyjmuje śliczną lalkę, a potem pajacyka z tektury.

Cisza staje się mniej przejmująca i już nie tak obco brzmi w niej dźwięczny głosik, odmawiający paciorek. A św. Staruszek uśmiecha się coraz promienniej. Nawet chwyta za skrzydełka i podsuwa dzieciom te nieznośne słowa modlitwy, które tak gwałtownie uciekają z pamięci.

Pogłaskał właśnie małą Hanię, a ona go pocałowała w rękę. Więc już śmiało, radośnie tuląc do siebie dary, wyjawiają dzieci swemu przyjacielowi wszystkie skryte marzenia: a to, że chciałyby rower na Gwiazdkę, a to saneczki i łyżwy, inne znowu ładną sukienkę z falbankami. Jaś marzy o szabli i ułańskim czako, Zosia chciałaby to samo (bo ona wszystko to lubi, co mały Jasio) i sypią się życzenia, drży w głosikach pożądanie i radość.

Mamusia mówi św. Mikołajowi, że chciałaby otrzymać serwis do kawy, ciocia piękną suknię i futro, tatuś skrycie myśli o radioaparacie. Duża Wanda (ma już całe 18 lat) prosi koniecznie o komplet narciarski, a Tadzio student życzy sobie drewnianego pieska na kółkach.

Wszyscy się śmieją — Tadzio zawsze musi powiedzieć coś śmiesznego, ale żeby przy św. Mikołaju?...

Zaś św. Mikołaj kiwa wesoło długą brodą, stuka tą wielką laską i chwaląc Najwyższego — wychodzi.

Mirania Galińska.



Dzieci proszą św. Mikołaja o saneczki i narty.



K 26162 B 26161

Ciocia chciałaby od św. Mikołaja piękną wieczorową suknię.

DOBRA gospodyni

Pierniki. Pół kg cukru, ćwierć kg miodu, 4 całe jajka, 3 łyżki korzeni, 100 g mielonych migdałów. Wszystko razem utrzeć dobrze, dodać 3 łyżeczki natronu, pół kg mąki pszennej i pół kg żytniej, dobrze wyrobić i zostawić ciasto na 2—3 dni w ciepłym miejscu. Po upływie tego czasu jeszcze raz ciasto przerobić, wałkować, wykrawać foremki i odpiec.

Piernik przekładaniec. Przyrządza się z tego samego 100 g cykaty, tyleż skórki pomarańczowej obsmażonej, rodzynków bez pestek, fig, orzechów i migdałów. Cykatę i skórkę pomarańczową pokrajać w paski, orzechy i migdały posiekać, a wszystko razem wymieszać i nakładać w formę tortową: warstwę ciasta, warstwę bakalii, znowu warstwę ciasta itd. Na wierzchu winna być warstwa ciasta. Boki trzeba także oblepić ciastem. Piec 50—60 minut. Wierzch oblukrować czekoladą.

Piernik „toruński". Proporcja: Pół kg mąki pszennej, pół kg mąki, żytniej, ćwierć kg czystego miodu, ćwierć kg cukru, pół l mleka, ćwierć kg masła, 2 jajka, 2 łyżki natronu, 2 łyżeczki tłuczonych korzeni, cokolwiek kardemonu, 10 słodkich i 2 gorzkie migdały. Miód rozpuszcza się w gorącym mleku; przed użyciem musi jednak ostygnąć. Masło dobrze ubić na pianę, po czym wsypać korzenie, utartą skórkę cytrynową, wbić jajka, dosypać cukier i trzeć 10 minut. Następnie wsypać mąkę, wlać rozpuszczony miód, mieszając dobrze przez 10 minut, po czym ubijać przez pół godziny, wałkować i wykrawać „katarzynki", kłaść na blachy, posypane mąką i odpiec na rumiany kolor. Pierniki należy przechowywać w blaszanych pudełkach, w chłodnym mimejscu.

Piernik na maślance. 1 l. maślanki, $1/8$ kg cukru, pół kg miodu gotuje się do gęstości. Gdy masa przestygnie dodaje się pół kg żytniej mąki, $3/4$ kg kg pszennej mąki, $1/8$ kg masła, 2 łyżeczki mielonych korzeni, pół łyżeczki natronu, trochę drobno pokrajanej cykaty i 8 g potażu, rozpuszczonego poprzednio w gorącej wodzie. Ciasto dobrze wyrobić, wałkować, wykrawać foremką i odpiec na ładny, ciemny kolor.

Piernik wyśmienity. 4 całe jajka i szklankę cukru utrzeć do białości, następnie dodać 2 łyżki zmielonych korzeni, łyżeczkę sody oczyszczonej (natronu), rozpuszczonej w kieliszku wody, 1 i pół szklanki rozpuszczonego i przetopionego miodu. Ucierać bez przerwy, dodając 4 szklanki pszennej mąki. Wsypać garść usiekanych orzechów i migdałów, trochę posiekanej cykaty. Wylać masę na niewielką blachę, wysmarowaną masłem i wstawić do gorącego pieca na 20 minut. Po upieczeniu wyrzucić na coś miękkiego i lukrować.

Pierniczki — całuski. (dobre, a niedrogie). Szklanka miodu, szklanka cukru, 2 całe jaja, 2 łyżeczki potażu, 2 łyżeczki korzeni, tartej skórki pomarańczowej, 1 kg mąki pszennej. Miód z cukrem i korzeniami zagotować, wlać na stolnicę i wyrabiać z z mąką, jajkami, potażem, na zupełnie gładkie ciasto. Rozwałkować cieńko, wykrawać okrągłe pierniczki, dać do pieca na 15—20 minut. Po opieczeniu — lukrować zimne, lukrem czekoladowym.

Piernik czekoladowy nadziewany. Rozpuścić na ogniu 1 kg miodu i $3/4$ kg cukru. Wziąć 3 kg mąki (połowa żytniej, połowa pszennej), dodać 5—6 całych jaj, 12,5 dkg topionego masła i rozpuszczony miód z cukrem. Zarobić ciasto, dodając jeszcze 3 łyżeczki korzeni i 6 łyżeczek natronu. Ciasto to podzielić na 2 części. Połowę włożyć do tortownicy, dać na wierzch następujące nadzianie: cykata, skórka pomarańczowa smażona, figi, koryntki, sułtanki, siekane orzechy lub migdały. Wszystko razem zmieszać, dodać 3 całe jaja, 1 i pół łyżki gęstej śmietanki i cukru do smaku. Rozciągnąwszy masę na pierniku, przykryć drugą częścią ciasta i upiec na złoty kolor, w średnio nagrzanym piecu. Po ostygnięciu i wyjęciu z formy pociągnąć piernik glazurą czekoladową: 10 dkg utartej czekolady, 10 dkg cukru — pudru, 4 łyżeczki kakao, 5 łyżeczek wody ucierać tak długo aż masa zrobi się gładka.

Małe pierniczki. Ciasto na te pierniczki zarabia się 10 dni przed pieczeniem, przykrywa płótnem i przechowuje w miernie ogrzanym pokoju. Potrzebne dodatki: 1 kg mąki, pół kg miodu, pół kg cukru, 14 g potażu, 65 g tartych orzechów, trochę przysmażonej skórki pomarańczowej i 3 łyżki korzeni. Mąkę wymieszać z korzeniami, zalać poprzednio rozpuszczonym miodem z cukrem i dodać orzechy, na koniec potaż, rozpuszczony w zimnej wodzie i nieco ogrzany. Po zarobieniu odstawia się ciasto na 10 dni, po czym przerabiając je powtórnie dodaje się 4 całe jajka, rozwałkowuje i wykrawa się małe, okrągłe pierniczki i piecze na blachach, posypanych mąką. Ciepłe jeszcze lukruje się białym lub czarnym lukrem, posypując kolorowym maczkiem.

Katarzynki. Szklankę miodu, szklankę cukru ucierać do białości, dodać jedno jajko, łyżeczkę, korzeni i łyżeczkę natronu. Mąki tyle, aby ciasto nie było za rzadkie. Mąki bierze się połowę, żytniej, połowę pszennej. Wywałkować dobrze, wykrawać foremki specjalne na katarzynki, odpiec na blasze, wysypanej mąką.

ŚWIAT i ŻYCIE

Robak — roślina

O.O. Franciszkanie, którzy mają sobie powierzoną trędownię w Tatsienlu (Chiny), stwierdzili na targach tybetańskich egzystencję dziwnego robaka, zwanego „Tz'ong tz'ao" czyli „robak roślina". Tybetańczycy zbierają robaczki w górach Paciachen na wysokości 3500 m. ponad poziomem morza. Robak jest podobny do jedwabnika; na głowie ma mały czerwony grzebień. Późną jesienią zapuszcza ogonek w ziemi i owija się w lekki kokon. Na spozimku z głowy robaczka wyrasta mała gałązka długości 6 cm, która rozwija się i rośnie. Jednakowoż ta mała roślinka jest częścią robaka. Na wiosnę wieśniacy zbierają robaczki. Robaszek nie żyje już, ale w ziemi znajdują ludzie innego robaczka koloru żółtego, bez gałązki i kokonu. Robaczek ten, gotowany w sfermentowanym wywarze kukurydzy, służy jako nadzwyczajny środek leczniczy na wszelkiego rodzaju choroby żołądka. Dlatego też ceny targowe na „robaczki - rośliny", są wysokie. Zdaniem Tybetańczyków rozmnażanie się robaczka dokonuje się dzięki gałązce, wyrastającej z główki. Pod wpływem ciepła słonecznego otwiera się gałązka jak kielich kwiata i wyrzuca z siebie małe ziarenka względnie jajka, z których rozwija się nowy robaczek. Wyjaśnienie to oczywiście nie jest naukowe. Przypuszczalnie zajmą się ludzie nauki zbadaniem stworzonka, które z robaczka zamienia się w roślinę.

Różne bywają zwyczaje

Spośród oryginalnych zwyczajów weselnych najciekawszym jest zwyczaj, jaki zachował się do dziś dnia w Galicznику w południowej Serbii. Młodzieńcom tej miejscowości nie wolno

golić brody, dopóki nie znajdą odpowiedniego przedmiotu swych uwielbień. Gdy która z piękności miejscowych rzuciła już swój czar na brodatego młodziana, ten idzie do miejscowego golibrody, który goli go a brodę amanta, zawiniętą w białą serwetkę, niesie do wybranki jego serca, składając ją na znak poddaństwa u jej stóp.

Jeśli dziewczę odtrąci serwetkę nogą, szkoda każdego dalszego słowa. Młodzian będzie musiał znów zapuścić brodę, jeśli zaś schyli się i podejmie serwetę, młodzian może bywać w jej domu i starać się o jej rękę, a jeśli golibroda, występujący w tym wypadku jako swat, zostanie nawet przedstawiony ojcu i zaproszony na kieliszek śliwowicy, to znaczy, że dawno amant już wpadł jej w oko i wszystko jest przygotowane do uroczystości weselnych.

Nieznajoma z gazety

NOWELA.

Paweł Kryński był człowiekiem wybitnie nowoczesnym i trochę wygodnym. Nie lubi nigdy skomplikowanych sytuacyj i męczącej bierności życia. Toteż zupełnie wytrąciła go z równowagi świadomość, że oto nie ma ani grosza I co gorsza — tak szybko mieć nie będzie. Z domu nie przyślą — ojciec coś wspominał o samodzielnych studiach i wydzierżawieniu zadłużonego majątku. Koledzy? No, na nich Paweł mógł liczyć najmniej! Pozostaje więc jedynie własna inicjatywa wybrnięcia z beznadziejnego położenia.

Nagle schwycił się, jak deski ratunku, szczęśliwej myśli:

— Wezmę kilka lekcyj! Wystarczy na opłacenie stancji i na utrzymanie. Za kolokwia na razie płacić nie potrzebuję, a później?... Jakoś to będzie!...

Z fantazją nałożył wytartą, studencką czapkę na jasną czuprynę i podniósł się od kawiarnego stolika. Był znowu sobą. Człowiekiem zrównoważonym, pewnym siebie i patrzącym śmiało w jutro.

Paweł zresztą nigdy nie dawał się powodować zbytnio troskami o własną egzystencję. Tak już było u niego od samego początku. Mimo to utrzymywał się stale na powierzchni. A bezwzględnie zawdzięczał to swojemu zdrowemu optymizmowi, zawsze młodzieńczej ekspresji ducha i wspaniałej umiejętności życia.

Idąc teraz gwarną ulicą uśmiechał się wesoło i pogodnie monologował w myśli: Ot, świat jest piękny! Może nie?... Jutro masz wolne, Pawełku. Doskonale, Prawda? Poszukasz sobie zaraz lekcyj. A później... hm, napiszesz kochanie do tajemniczej „Aty". A nuż, jednak wdepniesz w jakąś ciemną sprawę?... Wiadomo, złe nie śpi... Owa wzniosła „Ata" może w rzeczywistości być sobie zwykłą, mocno romansową „Atą" i pod hasłem „szukam przyjaźni", szukać po prostu amatora na swoje krzywe łopatki lub sztuczne szczęki. Brrrrr...

Otrząsnął się z tych myśli i wpadł z impetem do bramy ogromnej kamienicy. Za kilka chwil był w swoim pokoju. Pogwizdując, — zdjął marynarkę i rozłożył się jak mógł najwygodniej na skrzypiącym, kawalerskim łóżku. Na stole leżał maleńki wycinek z gazety. Wziął go w dwa palce i przeczytał jeszcze raz:

„Szukam szczerej, wzniosłej, przyjaźni. Listy kierować pod „Ata".

Paweł uśmiechnął się pobłażliwie. Znał tylko przyjaźń interesowną. Zastanowił się, czy kiedyś spotkał już w życiu przyjaźń, o jakiej mówi nieznajoma. Nie! Oczywiście sam temu winien, bo nie starał się nigdy o nią, a poza tym w swym interesownym życiu mało znajdował miejsca na uczucia natury wznioślejszej. Chodził zawsze po ziemi, a nigdy po obłokach, zadowolony ze świata i o siebie, jak doskonale zmechanizowany obiekt człowieczej beztroski. Suche studia matematyczne, ani trochę nie zmieniły tej jego ekskluzywnej i, bądź co bądź, indywidualnej natury.

I naraz — 27-letni, wielki mężczyzna zapragnął ludzkiej przyjaźni, jak kapryśne dziecko nieznanej zabawki.

Powtórnie zaintrygowany ogłoszeniem tajemniczej kobiety, zdecydowanie podniósł się z łóżka i zabrał do skreślenia listu, który zaczynał się słowami:

„Dotychczas nie znałem przyjaźni ludzkiej, ale sądzę, że ją dać potrafię..."

Minęło kilkanaście dni. Paweł wprzągnięty w kierat codziennych obowiązków, do których przybyło kilka lekcyj, zupełnie zapomniał o liście do „Aty". Było to zupełnie normalne, bo czyż pamięta się o malenkich epizodach, gdy trzeba myśleć o całokształcie życia?

Zdziwił się ogromnie, gdy pewnego popołudnia znalazł na stole wąską, białą kopertę. Od nieznajomej z gazety. Pisała dużo i inteligentnie.

Jest brzydka i biedna, ale posiada trochę zalet — nie maluje się, nie tańczy, potrafi interesująco słuchać, a mało mówić i... nie lubi kobiet. Bo u nich z przyjaźnią...!

Paweł parsknął śmiechem. Cały list wydał mu się groteskowym. Niezależnie jednak od tego odpowiedział.

I tak było co tydzień. Paweł zaliczył ten swój nowy obowiązek do całotygodniowego programu. Przyzwyczaił się do niego i wypełniał go z matematyczną ścisłością. O tym, jak wygląda nieznajoma, nie myślał. To było mało ważne. Kobiety zresztą nigdy go specjalnie nie interesowały. W „Acie" znalazł tylko świetną partnerkę do dyskusji i wymiany swych poglądów.

Trochę też zaniepokoił się, gdy pewnego dnia natknął się w liście na nieoczekiwane słowa:

„Pisze pan o ostatecznych egzaminach. — Wiem, że wyczerpują one najodporniejszy system nerwowy, a więc radzę Panu przyjechać do Brzostowic. Jest tu piękny majątek, który przyjmuje letników na niezwykłe dogodnych warunkach. Poznamy się przy tej okazji".

Paweł zachmurzył się na chwilę, ale zaraz optymizm wziął górę.

Naturalnie! Pojedzie! Czy tam, czy gdzieindziej, ale pojechać musi. Wymaga tego zdrowie — „Ata" ma rację!

W kilka dni później znalazł się na małej stacyjce w Żgowie. Z Brzostowic przyszły konie.

— Czy pan Kryński?! — zawołała z kozła powozu młoda, mocno opalona panna, gdy wyszedł z wagonu.

— Tak jest! — skłonił się uprzejmie w jej stronę.

— Proszę siadać, to konie po pana?

Przez drogę nie mówili ani słowa do siebie. Paweł ciekawie rozglądał się po malowniczej okolicy, a jego towarzyszka powoziła iście młodzieńczą fantazją. Od czasu do czasu spoglądała na Pawła i wtedy na jej ustach zjawiał się szczególny uśmieszek.

Późnym wieczorem Paweł wymknął się z swego pokoju, pełnego specyficznego zapachu, złożonego z mięty i lawendy i innych pachnących ziół. Ten pokój jak i cały dwór oraz okolica, przypadły mu z miejsca do serca! Był wdzięczny nieznanej „Acie" za sprowokowanie go do wyjazdu do Brzostowic. Właśnie za chwilę spotyka się z nią, więc jej gorąco podziękuje. Wyciągnął z kieszeni biały bilet i powtórnie przeczytał przy świetle księżyca, następujące słowa:

„Dowiedziałam się, że przybył Pan do Brzostowic. Oczekuję Pana wieczorem (21-sza) w dworskim parku, pod trzema brzozami".

Paweł szedł bez entuzjazmu po żwirowych ścieżkach parku, ale pełen nieznanej emocji.

— Witam! — usłyszał nagle miękki głos. przed nim stała opalona panna, który przywiozła go ze stacji.

— Panna „Ata"?... wytchnął z siebie.

— We własnej osobie i jedyna córka właściciela brzostowskiego dworu.

Paweł był zachwycony. „Ata" była cudowną dziewczyną.

— Nie spodziewałem się, że znajdę tak cenną przyjaźń... wyrzucił rozpromieniony.

— Natomiast ja spodziewałam się. I wnet przeczuwałam, że będzie Pan wyglądał właśnie tak, a nie inaczej...

— A czy wolno wiedzieć, jak wyglądam?

Sympatyczny uśmiech, a potem pełne mądrości słowa: — Wartościowo. — Tak, jak wymaga tego kobieta i jak tego wymaga nowoczesne życie, które na pozór wciąż się powtarza, ale zawsze jest ciekawe w różnorodności swych przejawów i zdarzeń...

Maria Zemmlerówna.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. C. P. Łódź. Z wierszyków, nadesłanych nam przez Panią, do druku zakwalifikowaliśmy „Liście", „Mgła" i „Prababka". W miarę zapotrzebowania przedrukujemy je w naszych pismach.

P. W. K. Krakowice. Wierszyk Pani pt. „Dziecię" b. słaby — nie skorzystamy. Pozdrawiamy Panią serdecznie.

P. M. Szcz. Z nadesłanych wierszyków do druku w naszych pismach nie wybraliśmy żadnego. Prosimy na przyszłość przysłać nam wiersze o bardziej wycieniowanej formie poetyckiej i pogłębionym temacie.

Artykuły, felietony i reportaże chętnie przyjmiemy od Pani; lecz pod warunkiem, że treścią i formą będą nam odpowiadały!

Posyłamy Pani pozdrowienia pełne życzliwości i oczekujemy nowej przesyłki Jej prac!

E. Z. — Polesie. Wierszyk Pana pt. „Świat pereł" bardzo jeszcze słaby — rzuca się w oczy wychodzenie na łatwiznę. Temat wiersza oryginalny, ale forma, forma!...

Prosimy nie ustawać w pracy i pamiętać przede wszystkim, że oprócz głębokiej myśli, dobry wiersz musi się odznaczać nienagannym rymem i rytmem.

P. J. Gr. — Radom. Wierszyk Pana p.t. „La donna est mobile" jest banalny w treści, a ponadto szwankuje poważnie forma. Wierszyk „Jesień" również słaby — nie skorzystamy.

P. W. Nałęcz — Myślenice. Wierszyk Pana nie jest najgorszy, ale treściowo nam nie odpowiada — nie skorzystamy.

Przesyłamy pozdrowienia!

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ul. Witold Mataczyński - Łysinin

	dzie	nie		
wił	praw	rzyć	lu	cy
wie	chcą	Kłam	dę	choć
	mó	by		

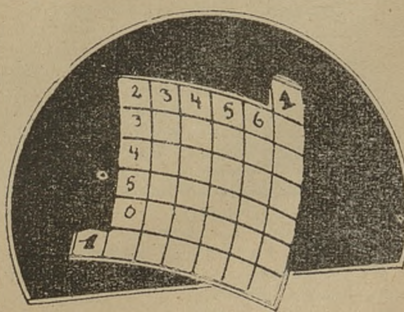
Rzutem konika szachowego odczytać treść konikówki.

KWADRAT MAGICZNY

Uł. F. Gałecki

Znajdziesz chyba sześć wyrazów
Szaradziarska głowo,
By jednakowo — tak poziomo —
Brzmiały, jak pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię żeńskie. 2) Wyrzut skórny. 3) Imię męskie niemieckie. 4) Inaczej karczma. 5) Ssak z rzędu drapieżnych, Afryka. 6) „Suchy" huk.



Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadesłać do piątku, dn. 9 grudnia br.

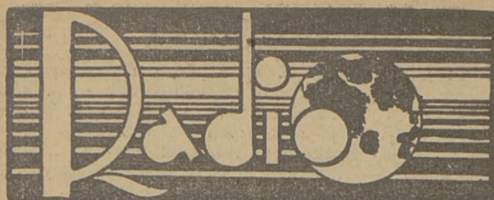
Rozwiązania zadań z nr. 47 „Moich Powieści":

I. Łamigłówka: Mickiewicz — Pan Tadeusz, Sienkiewicz — Bez Dogmatu, Konopnicka — Moi znajomi, Orzeszkowa — Australczyk.

II. Kwadrat magiczny. Epika, parow, Irena, Konin, awans.

Trafne rozwiązania nadesłali p.p.: Jagielski Kutno, Golimuntowicz Wanda — Dukla, Winiarski Henryk — Poznań, Łacki Henryk — Łódź. „Eros" — Bydgoszcz. T.Lenart — Rakowice, pow. Lubawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły p.p.: Jagielskiemu z Kutna i Łackiemu z Łodzi.



Niedziela, dnia 4 grudnia 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 „W dniu św. Barbary" — regionalna transmisja z Tarnowskich Gór 11.45 Aktualności w programach radiowych — omówi red. Stefan Stok, kierownik Wydz. Aktualności 12.03 Poranek symfoniczny z Torunia 13.00 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 13.15 „W święto górnika" — muzyka obiadowa z Katowic 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.15 „Potęga promieni" — słuchowisko 17.00 Recital fortepianowy Agi Jambor 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 Słynni wirtuozi — koncert z płyt 21.20 Ida Łosiówna demonstruje nowy instrument muzyczny 21.40 „Śląska pozytywka" — wesoła audycja 22.10 Polska muzyka popularna 22.45 „Gniazdo rodzinne Józefa Piłsudskiego" — recytacja.

Poniedziałek, dnia 5 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 8.10 Transmisja z Powiewiórki: reportaż i nabożeństwo z kościoła, gdzie był chrzcony J. Piłsudski 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 Chopin — aud. dla gimnazjów 15.00 „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.35 Miniatury kwartetowe — muzyka polska — koncert 17.20 „W dniu urodzin Józefa Piłsudskiego" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 „Szlakiem 'Marszałka Piłsudskiego" — aud. muzyczna 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert popularny muzyki polskiej 21.00 Koncert Grace Moore, primadonny Opery Nowojorskiej — Transmisja z Filharmonii.

Wtorek, dnia 6 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Koncert dla dzieci (z płyt) 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.30 Koncert pieśni fińskich z okazji święta narodowego Finlandii 16.45 „Samoobrona Litwy i Białorusi" — odczyt 17.00 „Mikołajki radiowe" — aud. słowno-muzyczna 17.30 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert T-wa Miłośników Dawnej Muzyki — transmisja z Konserwatorium Warszawskiego 22.20 Recital fortepianowy Ericha Riebensahma.

Środa, dnia 7 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Jeanette Mac Donald i Nelson Eddy — płyty 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz Koncert" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa w wyk. Przemysława Drzewieckiego na organach Wurlitzera 16.20 Najczęstsze choroby u dzieci — odczyt 16.35 Recital Mieczysława Szaleskiego 17.00 Od oddziałów ochotniczych do potężnej armii — odczyt 17.15 Folklor różnych krajów — Szwajcaria — koncert 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Teatr Wyobraźni: „Tragedia Sokratesa" — wiecz. I 19.20 Wieczór walców Adama Karasińskiego 21.00 Opowieść o Chopinie: „Nokturny" 21.45 Poezje wieku złotego — wieczór literacki 22.00 Utwory Brahmsa — dyryguje Bruno Walter — płyty.

Czwartek, dnia 8 grudnia 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Gidel 12.03 Poranek symfoniczny z Teatru Wielkiego w Poznaniu 13.00 Literatura niepodległościowa a niepodległość literatury — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa z Łodzi 14.45 Audycja dla młodzieży: fragm. z „Chłopów" — Reymonta 15.00 Audycja dla wsi 16.15 Koncert popołudniowy — transmisja z Gidel 17.00 Teatr Wyobraźni: „Tragedia Sokratesa" — wiecz. II 18.05 „W szkole morskiej" — felieton 18.15 „Siedem razy jeden" — komedio-opera J. Elsnera 19.30 Orkiestra i soliści — koncert z płyt 21.00 „Oj Maryś, Maryś" — koncert rozrywkowy 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 9 grudnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 „W rytmie czardasza" — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 „Na szerokim świecie" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.35 Jan Brahms: Trio op. 114 na fortepian, klarnet i wiolenczelę — koncert z Poznania 16.15 Recital fortepianowy Olgi Martusiewicz 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Teatr Wyobraźni: „Tragedia Sokratesa" — wiecz. III 19.30 Koncert rozrywkowy z Katowic 21.00 Robert Schumann: Raj i Peri — oratorium.

Sobota, dnia 10 grudnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Lekkie intermezza (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Dwa obrazki słuchowiskowe dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Sylwetki kompozytorów polskich: Michał Świerzyński 17.35 Światło zgasło — pogadanka 17.45 „Comedian Harmonists" — imitują orkiestrę (płyty) 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Irwing Berlin i jego piosenki — reportaż płytowy 20.00 Marsze, walce i polki — koncert ze Lwowa 21.00 „Przy sobocie — po robocie" — wielki koncert rozrywkowy — transmisja z sali Polskiej Y. M. C. A.



AUTOSUGESTIA

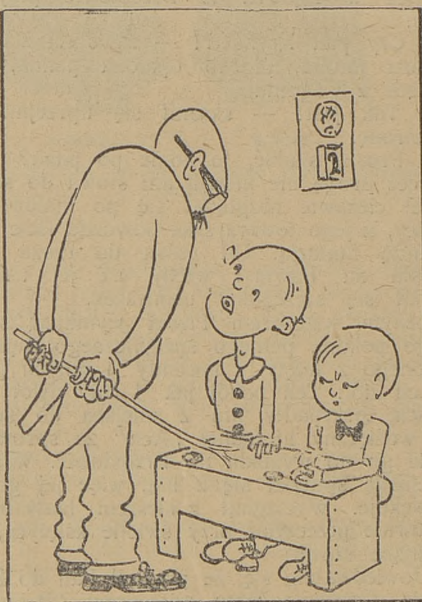
Pewien lekarz przywiązywał zbyt wielką wagę od autosugestii. Twierdził on, że chorzy powinni stale w siebie wmawiać, że czują się coraz lepiej. Pewnego razu spytał on siostry, pielęgnującej jednego z pacjentów, o jego zdrowie.

— Czuje się bardzo źle — odpowiedziała siostra.

— Siostra nie powinna tak mówić — obruszył się lekarz. — Należy zawsze powiedzieć, że choremu zdaje się, że czuje się źle...

Nazajutrz ponownie spytał o zdrowie pacjenta.

— Pacjentowi zdaje się, że umarł — odpowiedziała siostra, spuszczając oczy.



Nauczyciel: — Janku, powiedz mi, po czym się poznaje, że ziemia się kręci?

Uczeń: — Ja jeszcze tego nie zauważyłem, panie psorze...

ŁADNI GOŚCIE

— Marysiu! — woła pani do służącej.

— Niech Marysia dobrze posprząta w saloniku i niech Marysia nie wyrzuca śmieci pod kanapę, bo będziemy mieli gości.

— Ładne goście, co będą pod kanapę zaglądać... — mruszy pod nosem Marysia.

SZTUBACKIE WSPÓŁCZUCIE

Pani Kapuścińska czyta na głos z gazety sprawozdanie z pogrzebu nauczyciela swego „I oto wielkie jego serce przestało bić!..."

— Mocna ręka też — dodaje młody człowiek zgryźliwie.

ZAGADKA

— Co to jest? Ma osiem nóg i wydaje z siebie dźwięki?

— Nie wiem!

— Bardzo proste: to jest kwartet muzyczny!

STAŚ USPRAWIEDLIWIA SIĘ

— W kredensie były dwa jabłka, Stasiu, a teraz widzę tylko jedno? Co to ma znaczyć?

— Bo, proszę mamy, w kredensie było tak ciemno, że tego drugiego nie dojrzałem.

MĄDRALA

— Zgubiłem wczoraj banknot 100-złotowy — czy może go odnaleziono?

— Nie — oddano tylko banknot 10-złotowy!

— No, to daj mi go pan jako zaliczkę!

CUDO

— No, Marysiu — zwraca się pani domu do służącej — zadowolona jesteś z tej nowoczesnej elektrycznej kuchenki? Czy dobrze funkcjonuje?

— Znakomicie, proszę pani! Przez całe cztery tygodnie, które tu jestem, nie zgasła ani na chwilę!

PSUJE INTERES

Żebrak: — Czy pani nie ma jakichś starych bucików?

Pani: — Przecież macie na nogach jeszcze całkiem nowe.

Żebrak: — Właśnie i to mi psuje cały interes.

CHCE MIEĆ KRÓTKIE WŁOSY

— Środek na porost włosów? Duża czy mała flaszka?

— Mała wystarczy! Chcę mieć krótkie włosy!

NIESPODZIANKA

— Jak ty wyglądasz? Przecież powiedziałam ci, abyś w nowym ubraniu poszedł do szkoły!

— Ależ mamusiu, to jest właśnie nowe ubranie!

WARTOŚCIOWY CZŁOWIEK

— Pański kuzyn — to wartościowy człowiek.

— O, tak. Kto go dostawi policji, dostanie nagrody pięć tysięcy złotych...

NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM

— Czytałeś? Podobno wynaleziono maszynę, która pozwala stwierdzić, czy dany człowiek mówi prawdę, czy kłamie.

— No i cóż w tym nadzwyczajnego? Jestem z taką maszyną żonaty od dwunastu lat!

ZROZUMIAŁ!...

Żona: — Chłopiec z każdym dniem staje się do ciebie bardziej podobny.

Mąż: — Dlaczego? Czegoś znów nabroił chłopcze?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P K O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.